
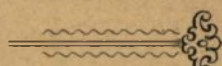


588 D *Li*
I-3-88

Biblioteka najnowszych powieści i nowel.

Ante
Pawel Bourget.

Nad brzegami 
 Arno

Z CYKLU „NOWE PASTELE“.

LWÓW. 1900.

Drukarnia narodowa St. Maniecki i Spka.

Biblioteka
826
w Przemyśle

WF

A-18832



1000173386

BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN

diiterat. 13d

K 1160/56 | 5481

Nad brzegami Arno.



I.

Terasa willi Werekiew roiła się od gości. Prześliczna wiosenna pogoda sprzyjała temu przyjęciu, wydanemu przez młodą hrabinę de Nançay. Ciemny błękit nieba, jaki tylko we Florencyi widzieć można, rozpościerał się nad okolicą, zasianą drzewami oliwnemi i ciemnymi cyprysami, wśród których tu i ówdzie wznosiły się marmurowe pałace. W oddali rysowała się katedra staro tokańskiego miasta, a na samym krańcu widnokręgu wody rzeki Arno jak roztopiony metal błyszcząły do słońca.

Część zaproszonych — a było około stu osób — przechadzała się po terasie, część schroniła się do namiotu. W obszernym tym namiocie, ustawionym na jednym końcu terasy, znajdował się duży stół, a na nim wśród kwiatów najrozmaitsze przekąski, mogące zadawolnić i najwybredniejszego smakosza. Naprzeciw tego namiotu czterech muzykantów neapolitańskich śpiewało



melodye ludowe. Wygląd ich był śmieszny i zarazem pretensjonalny, pełne ich twarze jaśniały zadowolone, a ubrania darowane widocznie przez wspaniałomyślnych melomanów, wraz z jaskrawymi krawatami fałszywymi kamieniami, błyszczącymi w pierścieniach i wysokimi niezgrabnymi kapeluszami, dopełniały komizmu tych postaci. Jeden grał na mandolinie, dwóch na skrzypcach, a czwarty na wiolonczeli. Przy tem śpiewali z niestrudzonym zapałem, jak gdyby nie za pieniądze, lecz dla własnej przyjemności. Popularne te melodye, śpiewane z takim entuzjazmem, obszerna terasa, jasna fasada domu, ogród, w którym drżały bzy i błyszczały posągi, bielejące wśród delikatnej wiosennej zieleni — wszystko to składało się na dziwnie harmonijną i estetyczną całość. Niestety nikt na to nie zwracał uwagi; zgromadzeni goście, mężczyźni i kobiety, należący przynajmniej do dziesięciu odmiennych narodowości, co tak łatwo spotkać można w tem kosmopolitycznem mieście, jakim jest Florencyja, ani na chwilę nie przerywali sobie banalnej rozmowy. Rozmawiano po pięć, po sześć osób, nie brakło też i par, ale te chroniły się przeważnie w cieniste aleje ogrodu. Był to rodzaj ustępu z nowożytnego dekameronu, dekameronu, któremu brakowało jednak nie tylko malowniczych kostyumów, ale także i tej naiwności i całego uroku poezyi dawno minionych czasów.

— Jakież nowiny o zatargu między Rosją a Anglią, sir Arturze? — pytał jeden z najwytworniej ubranych mężczyzn, biorąc filiżankę herbaty. Był on wysoki, zgrabny, wysmukły, a twarz jego była jedną z tych, które całymi latami pozostają niezmienione, dzięki sztuce toaletowej, posuniętej do ostatniego wyrafinowania. Jego profil, pomimo modnego kapelusza, przypominał dawne portrety z XVI-tego wieku. I rzeczywiście nie był to nikt inny, tylko markiz Henryk de Bonnivet, jeden z najautentyczniejszych potomków sławnego przyjaciela Franciszka I. Mężczyzna, którego nazwał sir Arturem, był to wysoki kościsty Anglik, o długich rękach i nogach, ubrany ekscentrycznie i oryginalnie. Człowiek ten mógłby się wydać śmiesznym w swoich za szerokich spodniach i niemodnym surducie o wysokim kołnierzu, który mu nadawał podobieństwo do jakiejś figury z czasów Dyrektoryatu, gdyby nie pewien wyraz wyższości i dystynkcyi, jaki go cechował. Lekki impertynenckodrwiący wyraz jego twarzy zdradzał, że ten młody trzydziestoletni człowiek jest zupełnie świadomy swej osobistej wartości w stosunku do drugich. „Patrzcie na mnie“, zdawał się mówić, „jestem sir Arthur Strabane, baronet, mam dwadzieścia pięć tysięcy funtów szterlingów dochodu, jestem spokrewniony z dwoma księżętami i nie wiem ilu

baronami. Ukończyłem uniwersytet w Oxfordzie a muskuły mam atlety. I jakże mi nad wami nie górować?”

— Nie, markizie — odrzekł najczystsza francuszczyzną — nie mam żadnej nowiny, prócz tych słów, które ambasador rosyjski powiedział w Londynie u lady Banbury: „Jeżeli Anglia pożyczy nam pieniędzy, a my jej ludzi, to wtedy będzie się można bić..“ Oto gdzie nas doprowadziła polityka Iótrów w przeciągu kilku lat... Biedny lord Beaconsfield! Ach! gdyby Anglia nie była pierwszorzędnem mocarstwem na świecie, jużby dawno zginęła przez tego Gladstone’a...

— Jesteś pan grzeczny dla Francyi, niema co mówić — odezwała się ze śmiechem młoda kobieta, która właśnie zbliżyła się do rozmawiających — ale czy panowie myślą, że po to dostają herbatę, by rozmawiać o polityce, tak jak w klubie? Niechno pan patrzy na hrabinę Sonię, która nie może się pozbyć tego nieznośnego Karégnine’a. Opowiada jej z pewnością całą historię cara Mikołaja. Niech pan pobiegnie na pomoc, sir Arturze, pod pozorem zaprowadzenia jej do bufetu. A pan, panie markizie, powie mi swoje zdanie o dzisiejszem przyjęciu, jak mistrz, krytykujący dzieło swego ucznia.

Mówiąc te słowa zapaliła papierosa, założonego w czarną bursztynową cygarniczkę, wysa-

dzaną brylancikami. Pani de Nançay, chociaż miała już przeszło dwadzieścia pięć lat, a od trzech była wdową, wyglądała jednak na młodziutką dziewczynę. Drobną blondynką o wesołych, błękitnych oczach, błyszczących złośliwością, o figurze zgrabnej, obciśniętej jasną wiosenną suknią, stała przed Bonnivet'em jak pensyonarka, prosząca by ją pochwalić. Te nagłe napady dzieciństwa, tak szczere, że nigdy nie mogły wyglądać na manierę, stanowiły właśnie główny wdzięk hrabiny i były może jej najniebezpieczniejszą bronią. Muzyka wciąż grała, przygłuszając swymi dźwiękami szmer prowadzonych rozmów. Pani de Nançay przysunęła się jeszcze bliżej do markiza, przymykając oczy i wypuszczając małe kłęby dymu, przysyłaniające ją białym obłokiem.

— Teraz, kiedy jestem spokojny, że angielska miłość własna nie wskutek moich słów nie ucierpi, mogę śmiało pani powiedzieć, że tylko Paryżanka coś takiego urządzić potrafi — odpowiedział Bonnivet.

— A w dodatku dzień tak bosko błękitny — dodała młoda kobieta, a uśmiech dumy, wywołany komplementem markiza, ustąpił na jej twarzy miejsca wyrazowi poetycznego rozmarzenia. — Na tle tego nieba wszystko inaczej się wydaje... Pan patrzy na moją cygarniczkę — zau-

ważyła z uśmiechem — czy poznaje pan prawdziwy styl rosyjski?... Brylanty, brylanty i jeszcze raz brylanty... Wygrałam ja od Mikołaja Łabnowa... Niech pan powie, czy jest oprócz Włoch jaki inny kraj, gdzie możnaby mieć taki przepyszny widok i taką muzykę?...

I zanuciła aryę romancy przez Neapolitańczyków śpiewanej. Następnie przeskakując na zupełnie inny temat, jak to było jej zwyczajem, zapytała bez żadnego wstępu:

— Mój drogi markizie, opowiedz mi pan ostatnią ploteczkę Florencyi.

— Owszem. Bohaterem jej jest pani przyjaciół, księżę Jerzy. Powiadają o nim, że cały swój majątek, a raczej ściśle się wyrażając, pozostałości swego majątku, trzyma w jakiejś szkatułce.. Otóż przedwczoraj wyprowadza się ze swego mieszkania i zabiera wszystkie rzeczy z wyjątkiem właśnie tej wspomnianej szkatułki. Tego samego dnia zajmuje opróżnione mieszkanie dwoje przejezdnych, jakiś pan i pani.. Tymczasem nasz Jerzy dopiero o godzinie jedenastej wieczór w klubie zauważył brak swojej kasy.. Naturalnie biegnie czempredzej do hotelu, puka do swego ex-apartamentu... żadnej odpowiedzi. Zaniepokojony puka raz i drugi, coraz gwałtowniej, aż wreszcie drzwi się otwierają i ukazuje się w nich jakiś człowiek bardzo blady. Pokazało się, że

historia tych dwójga osób nie zupełnie była w porządku. Nastąpiły wyjaśnienia, tłumaczenia... scenę tę łatwo sobie pani wyobrazi. Ostatecznie ksiązę powrócił ze swoją szkatułką, nie zobaczywszy jednak owej damy, która całą noc chorowała z przestachu. W szkatułce znajdowało się około dwudziestu pięciu tysięcy franków w biletach bankowych. Ciekaw jestem, coby był robił, gdyby ich nie odzyskał?...

— Pani de Nançay... Pani de Nançay!... — zaczęło wołać kilka głosów. Tymczasem młoda kobieta zanosila się od śmiechu, ubawiona tą przygodą człowieka, którego ogromnie lubiła dla jego ekscentryczności.

— Nawet pięć minut nie zostawiaj mnie w spokoju — rzekła. — I cóż tam takiego?

— Fotograf czeka na panią ze zdjęciem grupy.

— A zatem chodźmy — odparła. — Pan, panie Bonnivet tutaj, sir Strabane tutaj, pan tu... pan tu... — mówiła, ustawiając swych gości. — Ach, a tutaj ksiązę Jerzy — zawołała do księcia, który w tej chwili właśnie nadjechał. — Czy chcesz ksiązę — dodała żartobliwie — bym posłała po pańską szkatułkę? Mógłby się pan odfotografować, trzymając swoje skarby na kolanach...

— Ach! już i pani słyszała o tem?

— A teraz cicho! Proszę ospokój — zawołała. Grupa stała w pobliżu namiotu; każdy

przybrał wyraz. jaki uważał dla siebie za najodpowiedniejszy: ten marzący, tamten uśmiechnięty. W grupie tej można było znaleźć typy wszystkich ras. Poznać je było łatwo po rysach twarzy, barwie włosów, oczu i cery. Byli tu więc Hiszpanie i Polacy, Anglicy i Rosyanie, nawet Amerykanie i Duńczycy oczekujący, by aparat fotograficzny uwiecznił im wspomnienie tego pięknego, jasnego popołudnia. Śpiewacy neapolitańscy zgromadzili się też w jednym kąciaku, robiąc miny i przybierając pozy, które im się wydawały dramatyczne i pełne wdzięku. Nastąpiła chwila kompletnego milczenia.

— Już — zawołał fotograf.

— Jeszcze drugie zdjęcie — dodał.

— Już! — powtórzył znowu.

Zabawa rozpoczęła się na nowo. Muzykanci powrócili do swych piosnek, goście do przerwanej rozmowy. Powozy wciąż jeszcze nadjeżdżały, przywożąc spóźnionych. Ci, którzy przybyli wcześniej, zaczęli się rozjeżdżać. Dopiero przy pożegnaniach poznać było można, jak mieszkańcy tej wesołej Florencyi używają licznych rozrywek. „Czy będzie pan dziś wieczór u Radeskich?” „Tak, około dziesiątej. Na obiedzie jestem u lady Ardahan, następnie będę jeszcze u pani Chiaravalle. Prawdopodobnie w międzyczasie wpadnę do Radeskich”. „Czy mogę zawieźć pana ze sobą do

Cascines?„ „Jeżeli pani łaskawa, to proszę mnie po drodze zostawić u baronowej de Nürnberg“.

— I pomyśleć, że tak jest codziennie — mówił Bennivet, zajmwszy miejsce w eleganckim powoziku sir Artura Strabane. Ten ostatni sam powoził, a jego wspaniałe, czarne rumaki budziły podziw i zachwyt, pędząc drogą, wysadzaną kizakami róż i białych lub liliowych irysów.

— Tak — mówił dalej markiz po chwili — to życie Florencyi jest jednym nieustającym karnawałem. Nie rozumiem tego, że jeszcze dotychczas nie poumieraliśmy wszyscy ze zmęczenia.

— A w dodatku ja pojedę jeszcze prawdopodobnie na jeden sezon do Londynu — rzekł Anglik.

— Jednak my jesteśmy już do tego przyzwyczajeni. Jeden z naszych podróżników zwykł był mawiać, że mniej się czuje zmęczony po podróży przez pustynię, niż po przepędzeniu kilku miesięcy, a zwłaszcza czerwca, lipca i sierpnia w Londynie... Ale, ale... — dodał po krótkim milczeniu — uważałeś pan, jak pani de Nançay flirtuje teraz z Jerzym?...

— To ładny chłopiec — odrzekł markiz. — Nie masz pan cygara?

— W kieszeri z prawej strony, weź pan sobie sam — odparł Strabane.



Rzeczywiście podrażniony słowami swego towarzysza, popędził konie tak gwałtownie, że teraz musiał je obiema rękami powstrzymywać. Pomimo tego mówił dalej :

— W etui znajdziesz pan na górze zapalki, które zapalają się nawet na wietrze i nie wydają żadnej woni. Jest to nowy londyński wynalazek... Czy pan naprawdę uważa księcia za takiego ładnego chłopca?...

II.

Ostatni z gości zaproszonych odjechał, a był nim właśnie książę Jerzy, którego markiz de Bonnavet lubił chwalić na złość Arturowi. Bawił go źle ukrywany gniew Anglika, z jakim słuchał pochwał swojego rywala. Pani de Nançay została sama w małym saloniku, gdzie zwykła była przyjmować swoich najlepszych znajomych. W małym?... jak na włoską willę zapewne, że tak, bo pokryty freskami sufit wznosił się zaledwie może o jakie osiem metrów ponad dywanem, zaścielającym całą posadzkę, a bogate meble, gotyki różnego rodzaju i kształtu, rozstawione swobodnie grupami po salonie, zdradzały całą ekscentryczność zamężnego Rosyanina, poprzedniego mieszkańca i właściciela tej willi. Pani de Nançay zmieniła nieco charakter tego po-

koju, dodawszy portyery i dywany, ustawiwszy mnóstwo drobiazgów, jakie zawsze wozila z sobą. Tu i tam porozwieszała fotografie w modnych ramkach, a w jednym kącie ustawiła niską etażerkę z książkami, gdzie obok dzieł bogato oprawnych leżały powieści, opatrzone pieczęcią wypożyczalni Vieusseux'a. Na ścianach wisiały w wielkiej liczbie obrazy, przypisywane sławnym mistrzom pędzla, a skupowane przez Werekiewa z taką nieuwagą i roztargnieniem, że obok dzieł pierwszorzędnej wartości można było widzieć i najnędniejsze malowidła. Pomiędzy temi płótnami, którym czas lub zręczność sprzedającego nadała piętno starości, jeden portret odznaczał się zarówno bogactwem barw jak i świetnością kolorytu. Był to portret pani de Nançay, wykonany przez Miraut'a, artystę francuskiego, który był właśnie bardzo w modzie. Portret ten przedstawiał hrabinę we wspaniałej wieczorowej toalecie, plecami odwróconą do widza i z głową podniesioną w ten sposób, by można widzieć jej piękny regularny profil. Leonia de Nançay lubiła ten obraz, który jej przypominał, jak wyglądała gdy była młodziutką kobietą. o wiele młodszą niż obecnie. I dziś wieczór położyła się na miękkiej, wygodnej otomanie i przy zapadającym zmierzchu wpatrywała się w swoją podobiznę. Ogromnie lubiła o zmroku leżeć tak

nieruchomo i dopiero gdy ściemniło się zupełnie dzwoniła by podano światło. Upojenie wesołością i zabawą, w jakim przeżyła dzień cały, wieczorem zamieniło się w rodzaj zmęczenia i jakiejś nieokreślonej tęsknoty; — zaczęła marzyć.

Wróciła pamięcią w te czasy, kiedy powstał ów portret... Nie miała wówczas jeszcze dwudziestu lat. Było to prawie w przeddzień jej ślubu z panem de Nançay, wysokim, przystojnym i młodym mężczyzną. Pomimo, że posiadał znacznie mniejszy od niej majątek, została jego żoną po części dla jego pięknej powierzchowności, po części dla starego nazwiska. Leonia była tylko panną Olivier, a przez swoje małżeństwo zostawała kuzynką pani de Tillières, która znów była serdeczną przyjaciółką hrabiny de Candale. Dziwiono się, że rodzina de Nançay dała swoje pozwolenie na związek, bo nie znano okropnej tajemnicy tej rodziny. Tylko matka młodego człowieka знаła ją, niestety! aż nadto dobrze. Ten nieszczęśliwy był chory na umyśle, cierpiał na manię prześladowczą. Wiedział, że w rodzinie jego matki kilka osób cierpiało na manię samobójczą, bał się jej i w chwilach, gdy ta myśl zanadto go prześladowała, pił aby ją przytłumić. Ta radykalna kuracja kończyła się zwykle napadami szału, podczas którego tracił panowanie nad swoimi czynami i groził śmiercią każdemu, ktoby się powa-

żył stawić mu choćby najmniejszy opór. Leonia jeszcze dzisiaj uczuwała dreszcz przerażenia i zgrozy, na przypomnienie tej pierwszej okropnej sceny, która jej odkryła chorobę męża. Było to właśnie po powrocie do domu z jednego posiadzenia, gdy pozowała do tego portretu. Mąż pochwyił ją wtedy za ramię i ścisnął z taką siłą, że przez dwa tygodnie nosiła znak tej jego brutalności. Od tej chwili sceny podobne następowały po sobie bez przerwy. Leonia była prawie chora z przestachu i przerażenia, on groził, że ją zabije, jeśliby się poważyła wspomnieć komukolwiek o tych jego napadach szaleństwa. Jego wzrok był tak dziki, że wierzyła, iż potrafi wykonać to, co mówi i tak ciągnęły się długie miesiące, dla nieszczęśliwej kobiety pełne trwogi i niepokoju. Tyranizowana przez człowieka, z którym dobrowolnie sama się związała, myślała chwilkami o samobójstwie lub wstąpieniu do klasztoru. Żaden środek, który mógłby ją wyrwać z tego piekła, nie wydał jej się trudnym. Wtem pewnego razu zupełnie niespodzianie ujrzała się wolną, choć o tem nigdy i zamarzyć nie śmiała. Przy niesiono Wiktora de Nançay bez przytomności do domu. Koń zrzucił go na przechadzce i wskutek tego wypadku w kilka godzin później pożegnał się z tym światem. Leonia zalewała się łzami. Były to łzy radości, czy też przestachu i

zdenerwowania?... Sama nie mogła zdać sobie z tego sprawy... Wiedziała tylko jedno: że jest wolną!

Wolna! Dwadzieścia dwa lat i blisko cztery miliony majątku, który w ostatnich czasach powiększyły dwa spadki. Leonia przeszła więc odrazu z najgorszego nieszczęścia w położenie jeżeli nie najszcześniejsze, to w każdym razie przedstawiające jej jak najwięcej warunków szczęścia. Mogła rozpocząć życie na nowo. Tym razem przysięgła sobie w duszy, że potrafi wykorzystać swe położenie. Z pozorami wielkiej lekko-myślności była to kobieta w gruncie ogromnie uczciwa. Nie obiecywała też sobie żadnych awanturnicznych przygód, o które przecież w jej obecnem położeniu byłoby jej tak łatwo. Nie, pragnęła tylko powtórnie wejść w związki małżeńskie, a nauczona już pierwszym doświadczeniem, tym razem spodziewała się zrobić lepszy wybór. Zaczęła więc rozglądać się dokoła siebie temi błękitnemi, dziewczęcemi oczyma, których blasku nawet przebyte nieszczęścia zaćmić nie potrafiły. Może tylko gdzieś tam w głębi tych źrenic można było dostrzedz coś jakby odcień melancholii i smutku. Jednak już od czterech lat ani te oczy, ani serce ich właścicielki nie uczyniły wyboru. Pani de Nançay była, nie wiedząc nawet o tem, w dość niebezpiecznych warunkach. Poznała

wprawdzie życie o tyle, że nie była już tem naj-
wnem szesnastoletniem dzieckiem, które z taką
szaloną wesołością i uciechą tańczyło na pier-
wszym swym balu, jednak nie nabyła jeszcze praw-
dziwego, właściwego doświadczenia. Jej wyjąt-
kowe małżeństwo nauczyło ją bać się mężczyzn
i uczyniło niezmiernie wrażliwą na najmniej-
szy objaw życzliwości i sympatyj z ich strony.
Z tego powodu groziło jej niebezpieczeństwo, że
nie pozna się na prawdziwym uczuciu, ze względu
na gwałtowność jego naturalnego wybuchu, gdy
przeciwnie ostrożna hipokryzya znajdzie łaskę
w jej oczach

Zapadający zmrok okrywał portret coraz
gęściejszą zasłoną. Leonia wciąż marzyła. Woń
róż umieszczonych w pięknym kloszu weneckim,
delikatnie ją upajała. Widziała w pamięci pier-
wsze czasy swego wdowieństwa, które przepędziła
w Paryżu u matki, pani Olivier. Osoba ta nigdy
dobrze nie znała i nie rozumiała swej córki.
Owdowiawszy również bardzo wczesnie, a będąc
kobietą ogromnie światową, nie podejrzывała na-
wet, jak okropną tragedję kryło małżeństwo jej
dziecka. Ubolewała nad tem, co Leonia bądź co
bądź uważała za swe oswobodzenie. Ogromny
pusty hotel, który pani Olivier zajmowała na
przedmieściu Saint-Germain, był przepełniony
atmosferą śmiertelnych nudów. To też nic dzi-



wnego, że Leonia z zapalem pochwyciła sposobność wyjazdu do Włoch. Jedną z jej ciotek wybierała się tam ze swoim synem, który był chory na piersi. Był to młody, zaledwie dwudziestoletni chłopak. Przepędzili całą zimę w Rzymie a później, gdy zdrowie Maurycego polepszyło się trochę, udali się do Florencyi, gdzie pani de Nançay wynajęła willę od księcia Werekiew. Podobał jej się odurzający ruch życia florenckiego. Ta swoboda włoska chodzenia gdzie tylko jej się podobało, zachwycała ją poprostu. Zaraz od pierwszego dnia miała dokoła siebie całą świtę wielbicieli. Gromadzili się oni, zwabieni nietylko jej milionami ale także pięknym profilem i uroczym uśmiechem. Później cofali się jedni za drugimi, zniechęceni jej stanowczością, z jaką przerywała każdą najmniejszą próbę, czy chęć zbliżenia się do niej. Ci, którzy seryo mieli zamiar o nią się starać, zrażali się jej wesołością, niezależnością i szaloną żądzą flirtu, którą może więcej okazywała niż odczuwała istotnie. „Jeżeli mój mąż ma być zazdrośny przed ślubem, mawiała wesoło, to cóż dopiero będzie potem?“

W chwili obecnej liczba jej wielbicieli była zredukowana do trzech. Pierwszym był Anglik, sir Artur Strabane, o starożytnem nazwisku i ogromnym majątku. Ale dlaczegóż ubierał się, jak jeszcze jego pradziad z czasów Jerzego III.

zapewne chodził? I dlaczego też ten wysoki rudy człowiek o kościstej twarzy miał w swych jasnobłękitnych oczach chwilami wyraz srogości i okrucieństwa, który ją przerażał? Lecz mniej-
sza z tem! Był to człowiek prawy i rzeczywiście dobry. Jego duży korpus poruszał się z zgrabnością, która świadczyła o życiu prawdziwie męż-
kiem, o ćwiczeniach fizycznych i długich podró-
żach, a nadto jak ślicznie były utrzymane jego
konie, a dom prowadzony na wielkopańskiej
stopie! Dopiero od dwóch lat mieszkał we Flo-
rencyi, a jego obszerny pałac, który kupił, odre-
staurował i umeblował, uchodził za jeden z naj-
piękniejszych budynków w całym mieście. Lady
Strabane?... To brzmiało wcale nieźle. Przy jego
boku miałyby powabne życie?... Tak, ale czy
ona go kocha? W jednej chwili uprzytomniła
sobie wyraźniej oczy tego człowieka i pewien
rodzaj dzikości, jaka się malowała na dnie jego
źrenic. Dreszcz wstrząsnął jej postacią. Przypo-
mniała sobie swego męża. „Jaka ja głupia, po-
myślała, ten jest zwykłym „teetotaller“ jak oni
mówią; pije tylko czystą wodę, zresztą nigdy ani
kropli koniaku ani nawet wina. Dlaczego więc
ma takie jakieś dziwne spojrzenie?“

Sir Artur Strabane wzbudzał więc tylko
szacunek. Ale księżę Jerzy? Ach! księżę Jerzy
był śliczny. Ten Neapolitańczyk o białem czole

i z tymi sinymi cieniami, które jego ogolona broda kładła mu na twarz, miał cudowne czarne oczy o spojrzeniu tak pieśzcotliwem, gdy patrzył na Leonie! A przytem co za fantazyja w rozmowie, jaki humor, dowcip, co za głos! Gdy śpiewał ludowe melodye swojego kraju, budził w niej wzruszenie, którego nie umiała dokładnie określić, a potem pod pozorami wesołego chłopca ileż się kryło prawdziwie włoskiej fantazyi!... Gdy przymrużył prawe oko, tak, troszeczkę, w pewien sobie tylko właściwy sposób, była pewną, że nastawił w rozmowie pułapkę, do której wszyscy wpadną. Należał on do typu tych ludzi, którzy czarują lub rozbrajają tym pewnym rodzajem niedbalstwa, posuniętego do ostatecznych granic. Nie było to dla nikogo tajemnicą, że wydawszy a raczej roztrwoniwszy cały swój majątek pomiędzy samymi pasożytami, ostatkami gonił, przypominając bohaterów Alfreda Musset'a, do których Leonia lubiła go zawsze porównywać. Czyż cna sama nie była na tyle bogatą, by pozwolić sobie na taki zbytek i zaślubić człowieka zrujnowanego, jeżeli on jej się tak podoba? A książę czyż nie był takim, że życie spędzone przy jego boku byłoby jednym pasmem radości i szczęścia. Były chwile, że Leonii zdawało się, że jedynym racjonalnym sposobem spędzenia życia, jest zamienić je w jeden ciągły bal i spędzić

dzie wśród śmiechu, muzyki i zabaw; wówczas serce jej skłaniało się ku Jerzemu. Jednak Leonia miała też i swoje idealniejsze porywy; lubiła uchodzić w oczach drugich, a i w swoich własnych także, za duszę wzniosłą i wielką, zdolną do najszlachetniejszych aspiracyj. W takich chwilach już nie myślała o księciu Jerzym.

— Nie Kocham go — mówiła sobie — bo go nie Kocham wieczór tak jak rano, dziś tak jak wczoraj.

Pozostawał więc tylko markiz de Bonnivet. ale czy ten człowiek był nią naprawdę zajęty? Były dni, kiedy jej się zdawało, że tak, zwłaszcza wtedy gdy rozmawiał z nią tak spokojnie, a z takim niewytłumaczonym zajęciem. W innych chwilach rezerwa markiza zdawała się świadczyć o czem innem. Zresztą on sam zapewne sądził, że między nimi oprócz przyjaźni o niczem więcej i mowy być nie może. Lubił nieraz żartować ze swoich przywilejów koleżeństwa, jakie mu dawała jego czterdziestka — czterdziestka przed ilu laty już skończona? Leonia nie umiała odpowiedzieć sobie na to, bo markiz do dziś zachował jeszcze postawę piękną i dumną a twarz przystojną i surową. Życie paryskie nie zdołało wyłobić na niej ani jednej zmarszczki. Bonnivet w swoim czasie był rodzajem Don Juana, jak często o tem kroniki wspominały, ale i dla

niego Kommandor już się zjawił, a to w postaci długów. Takie przynajmniej o nim krążyły wersye, że pewnego pięknego poranku markiz zwołał swoich wierzycieli, uregulował rachunki, o ile mu to było możliwe, a co do reszty znów otrzymał kredyt na czas nieograniczony. We Florencyi żył bardzo oszczędnie, jak zwykł był mawiać, by do reszty oczyścić się z długów. Zapominał tylko dodać, że musiał dać słowo honoru czterem członkom Jockey-klubu, że noga jego nigdy już więcej w Paryżu nie postanie. Było to wskutek jakiejś niejasnej sprawy przy kartach, którą ci panowie zauważyli i o której przemilczeli tylko przez wzgląd na starożytność rodu i nazwiska. Na razie życie tego eks-księcia mody było bez zarzutu, chociaż na punkcie elegancyi pozostało niezmienione. Dwa pokoje, które zajmował w starożytnym pałacu nad rzeką Arno, były wytwornie umeblowane i ozdobione wspaniałymi pozostałościami poprzedniego urzędzenia. Głębokie zrozumienie wszystkich zwyczajów życia wykwintnego i towarzyskiego czyniło tego człowieka niejako „arbitrem“ cenionym i poszukiwanym w najpierwszych domach Florencyi. Markiz ani się o to nie starał ani też tego nie unikał. Uważał za swoją funkcję naturalną rozróżnianie i określanie w każdej okoliczności reguł i przepisów dobrego tonu. Dlaczego jednak wła-

ściwie Leonia de Nançay poświęciła tyle czasu na wyszukiwanie i analizowanie wszystkich przymiotów i zalet tego człowieka zrujnowanego i tak przeżytego? Oto dlatego, że była prawdziwą kobietą, kobietą w każdym calu, chociaż niezmiernie uczciwą; wiedziała, iż o markizie chodziły różne wersye, że w swoim czasie miał stosunek z jakąś księżniczką krwi królewskiej i ta wiadomość wywierała szczególniejszy urok na jej umysł. Pragnęła bliżej poznać tego człowieka, który potrafił tak szalenie rozkochać tę biedną księżniczkę de Loré. We wszystkich salonach Paryża przez dłuższy czas nie mówiono o niczem innem, tylko o rozpacznej tej biednej męczennicy, która o mało nie dostała pomieszczenia zmysłów, gdy markiz ją opuścił. Czyżby to wspomnienie bezwiednie popełnionej zbrodni rzucało ten jakiś cień, który tak często przysłał czy starzejącego się dandysa?...

Odgłos zbliżających się kroków wyrwał panią de Nançay z zamyślenia. Młody, szczupły człowiek wszedł do pokoju. Panujący zmrok pozwalał raczej domyśleć się jego drobnej i wątłej budowy, oraz cierpiącego wyrazu twarzy. Zatrzymał się chwilę, by popatrzeć na Leonie, której postać jasną plamą rysowała się na ciemnym tle pokoju. Leonia podniosła głowę i gdyby zmrok nie był tak gęsty, dojrzałaby niezawodnie go-

rażący rumieniec, jaki w tej samej chwili oblał twarz młodego chłopaka. Młodzieńcem tym był jej kuzyn.

— Przestraszyłeś mnie, Maurycy — odezwała się ze śmiechem. — Ach, ty dzikusie, widzisz, nie dotrzymałeś słowa; znowu nie przyszedłeś do gości. Ale możebyś zadzwonił, żeby nam podali lampę?... U którejże Angielki przepędziłeś dzisiejsze popołudnie? Ach, co za śliczne kwiaty! — dodała, ujrawszy wspaniałą bukiet białych gwoździków, który jej kuzyn trzymał w ręku.

— Zerwałem je dla ciebie w ogrodzie lady Rylstone — odpowiedział Maurycy.

— Ale jakiś ty zgrzany — zauważyła pani de Nançay, siostrzanym ruchem kładąc mu rękę na czole. — Idźże zaraz na górę do siebie i zmień ubranie, ty dzieciaku — dodała pieszczotliwie odrzucając mu włosy.

Wstała z kanapy, a w tejże chwili służący wniósł lampę, której światło oblało jej postać smukłą i wyniosłą.

— Tak jest dziecko, dla ciebie i dwie matki nie wystarczą, żeby cię dopilnować. Ale słyszę, że twoja prawdziwa mama wróciła właśnie do domu. Uciekaj bo dostaniesz burę. Dobry wieczór cioci — dodała zwracając się ku jednym drzwiom, podczas gdy Maurycy machinalnie wychodził drugimi. W ręce trzymał znowu bukiet gwoź-

dzików, które mu kuzynka bezmyślnie oddała, gdy ciotka wchodziła do salonu. Za ledwie młody człowiek wszedł do swego pokoju, gdzie łagodny ogień płonął na kominku, a pozaświecane świece, ubranie przygotowane na łóżku i zapuszczone firanki świadczyły o tym codziennym komforcie, jakim go otaczano, rzucił się na łóżko z łkaniem:

— Nie przyjęła moich kwiatów i tak dobrze bawiła się dzisiaj!...

I twarze wszystkich jego znajomych rywali zaczęły mu się kolejno przesuwac przed oczyma.

— Gdyby się choć domyśliła, jak ja ją kocham — wzdychał przez łzy. — Ale sama mi zawsze mówi, że jestem dla niej tylko dzieckiem. Jak ja ją kocham!... I jaki ja nieszczęśliwy!

III.

Markiz de Bonnivet prosił sir Artura, żeby zatrzymał powóz przed bramą jednego pałacu, zamieszkałego przez Anglików. Był to wspaniały budynek, zbudowany przez Michała Anioła dla jednego z siostrzeńców papieża, jak o tem świadczył napis jeszcze wcale czytelny, umieszczony na fasadzie. Następnie skierował się, jak to było jego zwyczajem, do klubu, wstąpiwszy jeszcze

poprzednio do domu, na którym był wywieszony szyld: „Michał Henrtelise, francuski nauczyciel szermierki“. Odpowiedź, jaką tu odebrał, musiała bezwątpienia ucieszyć „starego hultaja“, jak go zwykł nazywać żartem książę Jerzy, pomimo, że ta nazwa, prawdopodobnie głównie ze względu na przymiotnik, nie bardzo się podobała markizowi. Uśmiechnął się sam do siebie, idąc do klubu, gdzie przegrał partyjkę rubikonu z pewnym młodym Francuzem, który chwilowo bawił we Florencyi i był markizowi przez jakiegoś krewnego szczególnie polecony. Był to młody dwudziestoletni chłopak, syn pewnego przemysłowca i wprost nie posiadał się z radości, że gra w karty z człowiekiem, noszącym jedno z najpiękniejszych nazwisk we Francyi. Markiz wygrał trzydzieści ludiorów od pana Ludwika Serwina de Figon, bo tak się nazywał ów młody człowiek, który dotychczas nie wpadł jeszcze na szczęśliwy pomysł, by zamienić swoje imię z „Serwina“ na o wiele lepiej brzmiącego „Erwina“.

— Zrujnuję pana — zauważył szczęśliwy gracz z jednym ze swoich najbardziej przyjemnych i ujmujących uśmiechów.

— Pan gra panie markizie równie dobrze, jak przodkowie pana się bili — odparł tamten, który tego samego dnia wróciwszy do hotelu, napisał swej matce sprawozdanie z podróży, gdzie natu-

ralnie nie omieszkął donieść o swojej znajomości z Bonnivet'em! Ten ostatni, którego doświadczenie nauczyło ostrożności i raz na zawsze uleczyło z chęci sztucznego ratowania sytuacji przy kartach, jak o tem sobie szeptano tu i ówdzie, grywał teraz tylko z przyjezdnymi i to jakby im łaskę chciał wyświadczyć. Dziwnym też zbiegiem okoliczności wygrywał prawie zawsze. Któżby więc mógł przypuścić, że te kilka sztuk złota, zdobywane kiedy niekiedy przypadkowo w klubach, stanowiły najessencyonalniejszą część jego dochodów? Markiz nie był nigdy mniej lub więcej wesół czy zakłopotany, gdy przegrał lub wygrał sumę, która dawniej była dla niego nieznaczna, a dziś w każdym razie przedstawiała pewną wartość. Skończywszy partyjkę z panem Serwinem, powrócił do domu, by jak zwykle zrobić toaletę, przed wyjściem na obiad do miasta. Codziennie był gdzieindziej proszony. Zrana spożywał „at home“ śniadanie, złożone z dwóch jaj na miękko i filiżanki herbaty. Mówił, że czyni to aby schudnąć, chociaż nie mógł dać tego powodu oszczędności bez pewnego nieprawdopodobieństwa. Z czasów swojej dawniejszej świetności zostawił sobie tylko wspaniałą torbę podróżną z przeslicznymi srebrnymi agrafami. Służący, który był zarazem jego kucharzem, służył mu z wiernością i przywiązaniem. Odbijało się ono

nawet w głosie i sposobie mówienia, jaki w prawie komiczny sposób, przejął od swego pana.

— Pan markiz zdaje się być dzisiaj bardzo zadowolony — mówił czesząc go, jak tylko on jeden to potrafił, by z resztek włosów swego pana zrobić wcale pokaźną fryzurę.

— Ty za to zdaje się będziesz mniej zadowolony, gdy się dowiesz, że dziś jeszcze musisz pójść do willi Werekiew i do sir Arthura, ażeby odnieść te bilety — odrzekł markiz, który podług starożytnego zwyczaju mówił „ty“ swemu lokajowi.

— Przejdę się trochę — odpowiedział Placyd.
— Ja i tak za mało tu chodzę.. Jeszcze dostanę podagry na służbie u pana markiza.

— Nie jesteś nawet godny mieć podagrę — odparł Bonnivet, nie mogąc powstrzymać się od uśmiechu, gdy słyszał w ustach starego sługi to samo zdanie, którem tak często tłumaczył swój oszczędny zwyczaj nieużywania dorożki.

Zresztą oszczędność taka może rzeczywiście pozostawała w ścisłym związku z wymaganiami higieny. Uwaga ta nasunęła się właśnie markizowi, gdy po skończeniu toalety przejrzał się w dużem zwierciadle, które otoczone girlandą malowanych kwiatów, zajmowało jedną ze ścian jego gabinetu. Wysmukła, zgrabna jego postać, której kształty rysowały się tak wyraźnie w czar-

nym garniturze, mogła go zrobić rywalem nawet znacznie młodszego mężczyzny. Poznawał w sobie tego dawnego Bonnivet'a, który nadawał zawsze ton modzie i do którego młodzi, w świat wstępujący ludzie, schodzili się co rana, by być obecnymi przy jego robieniu toalety, jak dziś schodzą się do Baymond'a Casal'a lub do Filipa de Vardes. — „Przedewszystkiem — mawiał do nich markiz — bądźcie naturalnymi w każdym ruchu, w każdym calu; niech w was nie będzie nic wymuszonego.“ — I sam swoją osobą służył im za najlepszą ilustrację słów swoich. Jakkolwiek każdy, najdrobniejszy szczegół jego toalety był obliczony na efekt, przecież nic a nic tego nie zdradzało; ani duża morowa wstążka przypięta do kamizelki malutką złotą agrafą, na której wisiał „lorgnon“ starożytnego fasonu, ani specjalna forma jego kołnierzyka i mankietów, ani też piękny krój jego białej kamizelki, zapiętej z kocieteryą na sztucznie się zamykające, złote guziki.

Tego wieczoru jakiś dziwny błysk tryumfu jaśniał na twarzy markiza i czynił go tak młodym, że Placyd nie mógł się powstrzymać, by mu nie powiedzieć tego.

— Pan markiz to zawsze króluje między wszystkimi. Mając krawca i pieniądze ja byłbym taki jak oni, a bez krawca oni byliby jak jeden z nas...

O jakich że to tajemniczych osobistościach mówił w ten sposób służący i kogo właściwie określał tem słówkiem „oni“? Markiz nie próbował nawet odgadnąć, ale ten naiwny komplement starego sługusa zrobił mu prawdziwą przyjemność. Nućąc jakąś aryjkę Offenbacha, która była dla niego miłym wspomnieniem młodości, z widocznym zadowoleniem zasiadł do stołu, by napisać dwa bileciki: jeden, donoszący pani de Nançay, że szpady i rękawice do fechtowania już nadeszły, że mają się zejść u profesora szermierki jutro o dziesiątej i żeby uwiadomiła o tem księcia Jerzego, drugi bilet pod adresem sir Artura Strabane z zapytaniem, czy nie zechciałby jutro o wpół do dziewiątej odbyć z nim wspólną konną przejażdżkę do Cascines. Czy te dwa bilety treści na pozór tak obojętnej pozostawały ze sobą w jakim zagadkowym związku? Dość, że zaklejając kopertę i pieczętując ją sygnetem, który jeszcze Franciszek I. darował admirałowi Bonivet'owi, markiz miał jakiś złośliwy uśmieszek na ustach. Uśmiech ten mógłby dać wiele do myślenia i Leonii i Arturowi. Ale cóż mogło mu zależeć na tem, by tych dwoje poróżnić ze sobą, kiedy był przecież przyjacielem Artura? Czyż może miał zamiar sam ożenić się z Leonią?

Złośliwość błyszczała w oczach markiza nawet gdy wyszedł z domu, by udać się na ów

proszony obiad. Idąc ulicą wywijał laseczką, na której jakiś rywal Cellini'ego stworzył malutkie arcydzieło, przedstawiające walkę Tytanów. Czyż człowiek, którego drobnostki powszedniego życia tak pochłaniały, że nawet najmniejszy przedmiot służący do jego użytku był wybrany z tak staranną troskliwością, czy taki człowiek mógłby zakreślić sobie jaki plan w życiu i dążyć wytrwale do urzeczywistnienia go? Zdaje się, że ani Leonia de Nançay, która odebrała jego bilet w dwie godziny później, ani sir Artur, otrzymawszy zaproszenie markiza w swoim saloniku, nawet przez chwilę nad czemś podobnem się nie zastanawiali.

Anglik powrócił do siebie z zabawy pod wrażeniem wielkiego smutku. Cierpiał rzeczywiście patrząc na flirt Leonii i księcia Jerzego, uczuwał z tego powodu ten rodzaj bólu, tak dobrze znany wszystkim ludziom zazdrośnym, a krótka rzucona uwaga markiza o piękności jego rywala, powiększyła jeszcze zazdrość Artura. Wydał rozkaz, by służba wyprzęgła konie, napisał bilet, przepraszając, że nie może być na obiedzie, na który był w tym dniu proszony i przebrawszy się w kostyum odpowiedni do „fumoir'u“ — gdyż jako wierny i prawdziwy poddany Jej królewskiej Mości, królowej Wiktorii, posuwał aż do przesady zwyczaj występowania w każdej

najdrobniejszej okoliczności życia w pewnej specjalnej toalecie — położył się na dużej ceratowej sofie w swym ulubionym pokoju, gdzie zamykał się zawsze, ile razy czarne myśli go opadły i z krótkiej, drewnianej fajeczki zaczął palić bardzo mocny i bardzo ciemny tytoń. Było to jego złe przyzwyczajenie, nabyte jeszcze w kolegium Christ-Church w Oxfordzie. Do tego przyzwyczajenia w godzinach smutku zawsze stale powracał. Kiedy niekiedy nalewał sobie sodowej wody do dużej szklanki, przed nim stojącej, zakrapiając ją sporą dozą mocnej „whisky“. Człowiek ten, który będąc czy to w towarzystwie, czy tylko u siebie przy stole, nie tykał nigdy ani wina, ani choćby kieliszeczka likieru, lubił się w ten sposób odurzać tym napojem irlandzkim, który działa w sposób tak oszałamiający.

— Nie, ta myśl jest nie do zniesienia! — wołał od czasu do czasu.

Było to wtedy, gdy obraz Leonii, uśmiechniętej uroczo do księcia Jerzego, wyraźniej rysował się przed jego oczyma. W takich chwilach widział ją tak dokładnie, jak gdyby ją miał tuż przed sobą, widział delikatny owal jej twarzy, puszek, który ją ocieniał, pieprzyk, jaki miała koło ust z lewej strony i to jej spojrzenie tak długie i czasami tak wymowne. Następnie wyobrażał sobie księcia Jerzego z twarzą mężką

a jednak tak białą i przypominającą portrety Tycyana. Widział oczy tego młodego człowieka i ich wyraz, gdy patrzyły na panią de Nançay. Sama myśl, że księżę żyje, oddycha, ścisnęła Arturowi gardło, ale nadto, gdy konstatawał jeszcze w dodatku fakt że człowiek ten kocha Leonie i chce ją zrobić swoją żoną, Artur czuł, że wściekły gniew go ogarnia, że zapamiętałość go zaślepia. Wypróżnił swą szklanę, napelnioną odurzającym płynem i zamiast ją postawić na swoim miejscu, rzucił gwałtownie na posadzkę. Szklanka rozprysła się w tysiączne kawałki.

— Co za dzieciństwo! — powiedział sam do siebie i naraz zrobiło mu się jeszcze smutniej. Czuł się upokorzony sam przed sobą, a wrażenie to jest nieznośne, szczególnie dla Anglika, wychowanego jak on w absolutnem, tak wysoko rozwiniętem poczuciu osobistej godności. W tejże chwili przyniesiono mu bilet Bonnivet'a, na który wypadało odpowiedzieć, że będzie go oczekiwał o umówionej godzinie. To drobne zdarzenie zmieniło bieg jego myśli i skierowało je na osobę markiza. Z różnych przyczyn miał dla tego człowieka wiele sympatii. Gdy był jeszcze bardzo młodym, właśnie podczas swego pierwszego pobytu w Paryżu miał ten zaszczyt, że udało mu się przekonać Bonnivet'a, by wprowadził do letnich koszul modę angielską: biały kołnierz

i białe manszety, a reszta kolorowa. Podczas jego terażniejszego pobytu we Florencji markiz okazał tyle taktu, że przyjmował jego pół-zwierzenia, uważając, by go niczem nie dotknąć i nie zranić. Co więcej, zdawało się Arturowi, że Bonnivet wywiera dobry wpływ na panią de Nançay. Dlaczegoż sir Artur miałby być o ten wpływ zazdrosny? Był pewny, że markizowi nigdy ani przez myśl nie przeszło starać się o rękę Leonii. Ona sama przecież tak często mówiła o nim ze śmiechem: „On tak dobrze umie się starzeć...“ Sir Artur Strabane nie sądził zatem wcale, by markiz był możliwym pretendencem, a w każdym razie mógł w nim zyskać sprzymierzeńca. Na myśl przysług, jakie ten przyjaciel mógł mu oddać, sir Artur czuł się mimowolnie głęboko wzruszonym. „Tak“ szeptał sam do siebie, „poproszę go, by jej powiedział, żeby niezwłocznie między nami wybrała“.

Z temi myślami przechadzał się po pokoju. Nie, dłużej już stanowczo nie zniesie takiej sytuacji! Kocha ją szalenie i jest szalenie o nią zazdrosny. Z wszystkich jego gwałtownych uczuć i namiętności ta śmiertelna dzika zazdrość sprawiała mu najwięcej cierpienia. Równocześnie smutne doświadczenia, jakie w ciągu swego towarzyskiego życia zrobił na kobietach, czyniły go podejrzliwym, jak zwierzę, które raz oszukano.

— A jeżeli nie zechce się zdecydować?... — pytał sam siebie, chodząc wciąż i rozumując w dalszym ciągu. — Jeżeli nie zechce? W takim razie jest to kokietka, skończona kokietka! Pójdę, powiem jej to w oczy!... Potem? Potem będę jej unikał... Pojadę za Herbertem do Afryki...

I naraz zaczął myśleć o swym ukochanym przyjacielu. Był nim towarzysz jego dzieciństwa i pierwszej młodości, lord Herbert Bohun. Człowiek ten był zdeklarowanym nieprzyjacielem kobiet, „woman-hater“ jak mówią w Oxfordzie. Prowadził życie dziwne i ekscentryczne, pomiędzy Paryżem, gdzie upajał się alkoholami, a Indją lub Afryką gdzie podróżował i polował. Ale co też to były za podróże i polowania! Bohun trzy razy objechał już cały świat, obecnie bawił w Egipcie, skąd wybierał się na wybrzeża Zanzibaru. W parterowych salach starego opactwa, położonego malowniczo nad jednym z licznych jezior w Westmoreland, opactwa, które należało do Herberta, a w którym jednak właściciel prawie nigdy nie mieszkał, urządził całą galeryę swoich trofeów łowieckich; były tam więc i olbrzymie ptaki, tygrysy, dwa lwy i z kilkanaście panter. Właśnie niedawno sir Artur odebrał od niego list, z zaproszeniem by do niego przyjechał. W pamięci stanęła mu pełna, ogorzała twarz przyjaciela i te ciężkie, wspólnie spędzone

czasy, które przeżyli na yachcie, wiozącym ich obu do Irlandyi. Gdyby mu kto był wtedy powiedział, że w chwili znudzenia kupi sobie pałac we Florencyi, że zainstaluje się w nim, jak w swoim domu na „Hanover-Square“ w Londynie i że w końcu zacznie ginąć z miłości dla błękitnych oczu jednej z tych Francuzek, któremi lord Herbert pogardzał jeszcze więcej niż innemi kobietami! Kokietka! tak jest, kokietka, która drwiła sobie z niego razem z tym gachem; niemożna o nim było nawet powiedzieć czy jest gentlemanem. Kokietka! jak to łatwo powiedzieć. A jeżeli ona jest tylko wesołem i lekko-myślnem dzieckiem? Jakkolwiek już była mężatką, czyż nie miała w twarzy czegoś tak dziewczęcego, że mimowoli przychodziła ochota mówić do niej „panno Leonio“? Kokietka? Nie, co najwyżej płocho, ale jakże przytem czarująca i uroczą. Jej rozkoszny uśmiech znowu stanął mu w pamięci. Niestety! miała go zarówno dla Jerzego jak i dla niego.

W trakcie tych wszystkich chorobliwych „volte-face“ podrażnionej i cierpiącej wyobraźni, wieczór zapadł, noc się zbliżała, a flaszka „whisky“ wypróżniała się coraz bardziej. Ale nawet i alkohol nie potrafił dostatecznie uspokoić rozigranych nerwów zazdrosnego nieszczęśliwca. Z ciężkiem i głębokiem westchnieniem otworzył

pudełeczko, które zawierało jego podręczną apteczkę. Wybrał ztamtąd małą czarną flaszeczkę, w której znajdowało się laudanum. Była to jego ostatnia deska zbawienia, ostateczny środek, do którego się w tych ciężkich chwilach uciekał. Zadzwoił na służącego i o dziewiątej godzinie spał już twardym snem, wywołanym tą podwójną trucizną, jakiej używał, by uciec przed tymi okropnymi napadami zazdrości. Równocześnie prawie o tej samej porze Bonnivet wstawał od stołu u hrabiny Ardenza, dowcipniejszy i w lepszym humorze niż zwykle, a książę Jerzy zasiadał w głębi łoża za plecami pięknej pani de Nançay, by usłyszeć nowego doktora Fausta w „Mefistofelesie“ Boit'a, zaś Maurycy Olivier, wsparty łokciem na poduszce, czytał ten prześliczny sonet Cin'a de Pistoie:

„Dore l'Onesta pose le sua fronte“.

W sercu każdego z tych czterech ludzi Leonia była królową, a jednak dla każdego z nich była właściwie czemś innym: dla Bonnivet'a przedmiotem intrygi, dla księcia Jerzego uosobieniem wdzięku, dla Maurycego pięknem marzeniem, dla sir Artura niestety! posępnem widziadłem.

IV.

O ósmej godzinie zrana służący Artura z niemałą trudnością obudził swojego pana. Sir Artur powstał z tego ciężkiego snu, jak zwykle jeszcze bardziej rozdrażniony niż przedtem. Głowa mu ciążyła i nawet zimna woda, którą zlewał się co rana nic mu nie pomogła na to. Ażeby się zupełnie otrzeźwić wypił dużą filiżankę bardzo mocnej czarnej kawy, co naturalnie powiększyło jeszcze jego zdenerwowanie. Były dnie, w których stan ten stawał się tak nieznośny, że myślał o samobójstwie. Wsiadając na konia by udać się na umówione miejsce spotkania z przyjacielem, przypomniał sobie te wszystkie drobne wydarzenia, które wywołały u niego wczorajszy napad zazdrości. I znów uczuł ten nieznośny ból w okolicy serca, ból od którego napróżno usiłował się wczoraj uwolnić przy pomocy opium. Dopiero gdy znalazł się obok markiza i gdy ich konie galopowały przez wielką aleję w Cascines, doznał Artur wrażenia ulgi dzięki szybkiej jeździe i prądowi świeżego powietrza.

Był to jeden z tych jasnych wiosennych poranków, które we Florencyi są takie urocze. Gałęzie drzew wyglądały jak gdyby były posypane leciuchnym pyłkiem zielonym. Z lewej

strony falista linia wzgórz zarysowała się jak najwyraźniej na jasnym tle błękitu; w powietrzu drżał leciuchny wietrzyk świeży i ciepły zarazem, a wzdłuż głównej alei przesuwało się nieustannie móstwo jeźdźców konnych i powozów, o których Bonnivet co chwila rzucał dowcipne a złośliwe uwagi. Był on dzisiaj mizantropijnie i pesymistycznie usposobiony, a każda z jego uwag powiększała tylko ten dziwny niesmak i zniechęcenie, jakie naprzemian opanowywało i znów opuszczało sir Artura. Zdawało się, że markizowi sprawia nawet pewną przyjemność nasuwanie czy suggestyonowanie towarzyszowi takich myśli, które go naprowadzały na drogę podejrzeń i nieufności i tak łatwo krwawiły mu serce.

— Ale! Co widzę! Hrabianka Nina galopuje z księciem Andrzejem. Widocznie akcye tego biednego Beppa stają już bardzo nisko... Emilia dzisiaj bardzo ładnie wygląda. Nikt by nie poznał, że ma za sobą czterdzieści i to tak burzliwych wiosen! Jak pański kuzyn, lord Randolph Ramsey szalał za nią! No i on był szczęśliwym, a ona wierną przez całe sześć tygodni. Dla takiej wietrznicy to był długi kontrakt!... Pański przyjaciel James panu się kłania. Nie musiało mu się udać z Nataszą... Możesz mu pan powiedzieć, że on jest jedynym...

Czemże była ta cała paplanina, jeżeli nie monetą zdawkową konwersacyi, prowadzonych co wieczora w przynajmniej pięćdziesięciu salonach Florencyi? Konwersacye te składały się w połowie z obmów, w połowie z oszczerstw. Ale sir Artur czuł się dziś rozgoryczony do życia i popędzając konia, jak gdyby chciał uciec od swego towarzysza, miał szaloną ochotę pójść gdzieś bardzo, bardzo daleko, ażeby nie mieć nic wspólnego z tym światem udawań i kłamstwa, do którego należała i Leonia de Nançay. Pragnąłby się dowiedzieć, czy pomiędzy przechadzającymi się nie byli i tacy, którzy o nim i Leonii robili podobne uwagi: „Biedny Strabane!... Jak ta piękna pani Leonia kpi sobie z niego!...“ Nie, on nie będzie igraszką zalotnicy, kobiety o sercu popsutem i zdradliwem, która się bawi oszukiwaniem uczciwego człowieka, jak grający w szachy, gdy wygrywa partycję, cieszy się zręcznie zadany matem. Oddany na pastwę melancholii sir Artur zaledwie słuchał Bonnivet'a, gdy ten naraz, spoglądając na zegarek, zatrzymał swego towarzysza wołając:

— Trzeba nam wracać; zaledwie mam dosyć czasu, żeby się stawić na umówione rendez-vous z pańską partnerką od flirtu...

Nic tak nie gniewało Artura, jak to określenie lekceważące, dane tej, którą on chciał zrobić swoją żoną.

— Pani de Nançay na pana czeka? — zapytał.

— Jakto! Nie opowiedziałem panu jeszcze o jej najnowszem szaleństwie? — zapytał markiz z udaną naiwnością.

— Nie — odparł Artur, a serce mu gwałtownie bić zaczęło.

— Wyobraź pan sobie, chce się uczyć szermierki u Henrtebise'a i dzisiaj właśnie jej pierwsza lekcya. Chodź pan także, ubawimy się z pewnością.

— Chodźmy — rzekł sir Artur, zawracając swego konia.

W trzy kwadranse później, powierzwszy swoje konie markiz człowiekowi z maneżu, a sir Artur swemu lokajowi, który jechał za nim, obaj panowie weszli do tego samego domu, gdzie Bonnivet wpadł wczoraj na chwilkę i z kąd wyszedł taki uśmiechnięty.

Sala położona na parterze i wychodząca na ulicę, wyglądała podobnie jak wszystkie sale tego rodzaju. Na ścianach wisiały szpady, rękawice, maski i kirysy. Dwie długie deski oznaczały miejsce, na którem uczniowie stawali podczas lekcyi. Sala ta była zupełnie pusta. Kończyła się po przeciwnej stronie oszklonemi drzwiami, z poza których dawały się słyszeć kroki, chrzęst szpad i słowa: „złożyć się... odjąć, odbić... zastawić się...”. Wybuchy śmiechu mieszały się z tym szermierskim żargonem. Sir Artur Strabane po-

znał natychmiast śmiech Leonii i głos księcia Jerzego.

Przy otwieraniu pierwszych drzwi odezwał się głos dzwonka. W odpowiedzi na to uchylily się drzwi oszklone i ukazała się w nich postać samego Michała Henrtebise'a. Był to człowiek barczysty, silnie zbudowany, o twarzy chudej i kościstej. Cały jego korpus odpowiadał w zupełności jego powołaniu. Henrtebise był protegowanym markiza Bonnivet'a.

— Pani hrabina jest tam — odezwał się, powitawszy swych gości — uczy się w mniejszej sali z księciem Jerzym. Jeżeli tylko będzie trochę pracowała, to bardzo prędko się nauczy... Powiada, że brała lekcye szermierki jeszcze za życia pana hrabiego... No i pokazuje się, że nie zapomniała.. Ale niech panowie najlepiej sami zobaczą..

Sir Artur i markiz weszli istotnie do drugiej sali, mniejszej niż poprzednia i zatrzymali się w progu, by spojrzeć na oryginalny, a dziwnie piękny widok, jaki się tutaj przedstawił ich oczom. Leonia była ubrana w białą flanelową suknię, jakich Angielki używają zwykle przy grze w tennis. Jej zgrabne nóżki były obute w trzewiki z żółtej skóry, której kolor stanowił ładny kontrast z czarnymi jedwabnymi pończochami. Jej kapelusz, welonik, parasolka z rączką

o dużej gałce i szary płaszczyk leżały na krześle. Kilka jasnych figlarnych loczków otaczało jej maskę, pod którą można było sobie wyobrazić jej śliczną twarzyczkę, ożywioną dziecinną radością. Oczy jej błyszczały, białe ząbki błyskały pomiędzy drutami maski i widać było, że lekki rumieniec zabarwił jej zwykle dość blade policzki. Zręczność jej ruchów, z jakimi poruszała swem prawem ramieniem, uzbrojonym szpadą, zdradzała siłę mięśni, jakiej nikt nie byłby się spodziewał w tej drobnej postaci kobiecej. Naprzeciw niej książe Jerzy, również w masce, z podniesioną lewą ręką wywiązywał się ze swoich obowiązków zaimprovizowanego profesora, z doskonałą znajomością przedmiotu.

— Dzień dobry wam panowie! — zawołała Leonia, nie przerywając sobie ani na chwilę w swem zajęciu. — W tej chwili kończymy.

Obaj przybyli usiedli i lekcya odbywała się dalej. Markiz de Bonnivet nadał swej twarzy wyraz zarazem drwiący i pobłażliwy, z jakim starszy brat patrzy na szaleństwo swej siostry, którą traktuje jak popsute dziecko.

— Brawo! — m'wił. — Tylko pani lewa noga nie jest dość silnie o ziemię oparta... Pani pozwoli?... — I wstał by pewnie ustawić mały żółty trzewiczek bez obcasa. — Niech się pani nie rusza całą postacią, głowa więcej do góry... Pani pozwoli?..

I ruchem pełnym uszanowania dotknął czoła młodej kobiety. Te drobne poufałości nie sprawiały jeszcze tak wielkiej przykrości sir Arturowi, a przecież w tej chwili cierpiał więcej, niż wtedy gdy, zażywał czarne krople usypiającego narkotyku. Nie, tylko fantazyja Leonii tym razem przechodziła wszelkie granice. Czyż to był postępek godny prawdziwej „lady“, by przychodzić tu, do sali szermierki i fechtować się z tym, który się o nią starał? Patrzył na księcia, którego męska postać pełna elegancyi, tak korzystnie wyglądała w kostjumie szermierskim i im lepiej konstatował jego piękność, tem więcej nienawidził Leonię za jej szalony pomysł.

— No i cóż pan na to? — zagadnęła go nagle młoda kobieta, gdy jej partner zaproponował chwilowy wypoczynek. — Nieźle mi idzie, prawda? — dodała zdejmując maskę, poczem wsunęła szpadę pod lewe ramię, prawą rękę podając nowoprzybyłym. Niestety, cała piękność tej rączki ginęła pod grubą, szarą, skórzaną rękawicą. — Szpady są wyborne i takie lekkie — rzekła, zwracając się do markiza. — Czy i pan się może do nas przyłączy, sir Arturze? Jakby to było zabawnie!.. Ale prawda, wy Anglicy macie w pogardzie „fencing“. To dla nich za delikatne — dorzuciła ze złośliwym uśmiechem, zwracając

się do Jerzego — im trzeba gwałtownych i mę-
czących ćwiczeń, stosowniejszych dla atletów.

— Cios dobrze wymierzony, sir Arturze —
przerwał Bonnivet ze śmiechem.

— Nie myślę go odbijać — odrzekł Anglik —
nie czuję się na siłach. Czy pani jednak pozwoli
sobie powiedzieć jedno słówko?

— I sto nawet.

— Ale słówko na osobności, w sprawie tego
polecenia, które mi pani dała.

— Cóż za tajemniczość! — odrzekła Leonia,
a brwi jej lekko się ściągnęły. — A więc chodźmy.

I przeszła do sąsiedniej sali.

— Co ma znaczyć takie swobodne postępowanie?
— zapytała natychmiast, gdy tylko znale-
źli się sami. Mówiła cicho, lecz w głosie jej
drżał gniew przytłumiony.

— Nic, proszę pani — odparł młody człowiek —
nie mogę tylko znieść, żeby się pani w podobny
sposób kompromitowała, a że nikt pani nie po-
wie słów prawdy, więc musi je pani usłyszeć
odemnie... Błagam panią, powróć natychmiast do
swej willi i niech ta pierwsza lekcya szermierki
będzie zarazem i ostatnią... Czy pani chce, żeby
cała Florencia mówiła o pani?

Spojrzała na niego zdziwiona i wybuchnęła
głośnym śmiechem. — Dziękuję — zawołała szy-
derczo, a wbiegając do drugiej salki odezwała
się do księcia :

— No, cóż? spróbujemy się znowu?

I sir Artur odchodząc znów usłyszał nienawistny głos rywala:

— Złożyć się, odbić.. zastawić..

— Ach! bez serca kobieta, bez serca! — szeptał nieszczęśliwy człowiek, piechotą wracając do swego pałacu. A po chwili dodał głośniejszym głosem: — Niema co, trzeba z tem raz skończyć!

V.

Pani de Nançay po odejściu sir Artura, fechtowała się z jeszcze większą żywością niż przedtem. Jednak po kilku minutach nagle odrzuciła szpadę.

— Niechno pan zobaczy czy mego powozu jeszcze niema — rzekła do markiza.

Na twierdzącą odpowiedź tego ostatniego, spojrziała na malutki zegarek, który w formie breloczka wisiał u jej skórzanego paska.

— Już po jedenastej. Muszę uciekać — powiedziała.

I w jednej chwili włożyła kapelusz, zawiązała welonik i długim szarym płaszczem okryła swą ekscentryczną toaletę.

— Żegnam panów — rzekła z nerwowym śmiechem.

— Z czegoś jest niezadowolona — odezwał się książę Jerzy, widząc ją już wsiadającą do powozu.

— Jakaś sprzeczka zakochanych między sir Arturem a nią — odparł Bonnivet.

— No — odrzekł tamten — znajdzie się już ktoś, kto ich pogodzi.

Przy tych słowach patrzył bystro w twarz swego interlokutora, a jego czarne oczy zdawały się mówić:

— No, no, mój panie, chciałbyś to we mnie wmówić, wzbudzić we mnie zazdrość i dowiedzieć się o moich zamiarach. Tymczasem niczego się nie dowiesz, chyba tego, że drwię sobie z twojego małego fortelu i znam się na nim jeszcze lepiej od ciebie.

Tymczasem powóz pani de Nançay toczył się szybko po ulicach miasta. Pałace promienie słońca padały niemal prostopadle na bruk, na którym miejscami cień kładł sinawe plamy. Powóz mijał starożytne pałace, których kratowane okna i potężne mury zdawały się mówić o groźnej i niebezpiecznej przeszłości. Na dole przed bramami tych pałaców wiosna rozpościerała swe panowanie, gdyż liczni handlarze kwiatów rozsiedli się tutaj z całymi pękami białych gwoździków, czerwonych tulipanów, białych i pąsowych róż i bladych narcyzów. Uderzający kon-

trast tych jaskrawych barw z posępnym kolorem czerniałych murów nie zdołał jednak ani na chwilę zwrócić na siebie uwagi Leonii. Jej pięknie zarysowane brwi były ściągnięte, a błękitne oczy gdzieś w dal patrzyły. Jednym z rysów dzieciennego jej charakteru było nadmierne przywiązywanie wagi do zdania innych osób. Jak często zdarza się osobom, ulegającym tego rodzaju obawom, Leonia bardzo często postępowała wbrew ludzkiej opinii, wyzywała ją nawet poniekąd, a potem wskutek tego cierpiała. Jest to zwykły los takiej naiwnej próżności: wyszczególnia się, w celu zwrócenia na siebie uwagi, a każda nagana jaką to wyróżnienie się zwykło za sobą pociągać, rani ją przykro i boleśnie.

— Jakim prawem sir Artur pozwala sobie sądzić mnie i w dodatku mi to mówić? — myślała. — Tak, jakim prawem, chciałabym wiedzieć? Czyż ja robię co złego, a choćbym nawet robiła, czyż on jest moim mężem lub narzeczonym?...

Rozumowanie to jednak nie zdołało zmniejszyć jej gniewu ani usunąć nieznośnego wrażenia, że spadła w opinii Anglika. Jej miłość własna czuła się zraniona.

— Ale czyż ja go kocham -- zapytała się nagle — że jego zdanie potrafi mnie aż w taki stan wprowadzić?

Zacząła się bliżej zastanawiać nad sobą z pewnym rodzajem lęku i nadziei. Dosyć często odbywała podobne refleksye, bezwiednie tłumiąc tym sposobem wszelkie żywsze poruszenia swego serca. Patrzyła w głąb swojej duszy i każdym razem konstatowała niedostateczność tego uczucia, które, by się powiększyć, powinno było samo nie wiedzieć o sobie i rozwijać się w tajemnicy. Potem mówiła sama sobie: — Nie, to jeszcze nie to — i znów zaczynała na nowo gonitwę za szczęściem. Tak też było i tego poranku, gdy jadąc w swym powozie przez szpalery róż, zapytywała sama siebie: — Czyżbym kochała Artura?

Ruch powozu lekko ją kołysał, przymknęła oczy, by lepiej skupić myśli.

— Jaka też jest najpewniejsza oznaka miłości? — zapytywała się w duchu. — Że nieobecność ukochanego staje się niezbędną dla szczęścia... Ależ nieobecność sir Artura wcale nie dawała mi się uczuwać dziś rano... Fechtowałam się z Jerzym, nie myśląc nawet o tem, że tamten w ogóle istnieje na świecie... Nie, ja go chyba nie kocham.

I natychmiast zadała sobie pytanie, które w umyśle kobiety nieodzownie towarzyszy tego rodzaju refleksyom:

— A on, czy on mnie kocha? Jakim blaskiem

płoną jego oczy, ilekroć spojrzy na mnie! Ale u mężczyzn żądza i zazdrość objawiają się podobnie jak i miłość.

Mimowolnie myśląc o oczach sir Artura przypomniała sobie oczy swego męża, w chwili gdy przygotowywał się do urzędzenia jej jednej z tych scen, które jej mało o śmierć nie przypawily. Dreszcz trwogi wstrząsnął jej postacią.

— No, raz miałam tego całkiem dosyć. Nigdy nie zostanę lady Strabane — zakonkludowała, gdy powóz zatrzymał się przed bramą jej willi. Wysiadła, by przejść się jeszcze trochę, zanim wejdzie do pomieszkania. Było południe. Zielony ogród spał oblany ciepłym światłem słonecznym, marmurowe posągi lśniły i błyszczały, a malowana fasada zdawała się ożywiać i nabierać jakichś cieplejszych barw i tonów. Pani de Nançay zapuściła się w szpaler gęstych kwitnących bzów. Nie wszystkie jednak już zakwitły. Tylko tu i ówdzie zwisała kiść zupełnie już rozwinięta. Inne były dopiero w pęczach. Leonia zerwała kilka kwitnących gałęzi i pełną piersią wciągnęła ich woń, równocześnie topiąc wzrok w przeczystym błękicie. Przykre wrażenie wywołane szorstkiem wystąpieniem sir Artura, powoli zaczynało się zacierać; zostawało jej tylko wspomnienie, że nie nudziła się przynajmniej ubie-

głego poranku. Woń kwiatów była tak upajająca, że ogarnęło ją jakieś słodkie wzruszenie, które natychmiast inny bieg nadało jej myślom: — Jednak, jaki on jest przecież szczery. — Mówiąc to miała na myśli Anglika. — On mnie naprawdę kocha... Czy też przyjdzie dzisiaj wytłumaczyć się ze swego postępowania? — Spojrzała na zegarek i jak pensyonarka klasnęła w ręce. — Jeżeli przyjdzie jeszcze przed trzecią, to znak, że mnie kocha i będę bardzo dobra dla niego. Jeżeli przyjdzie później, to będę zła.. — I uśmiechnęta z tego dziecinnego układu zrobionego z własną kokieterią, powróciła do willi, gdzie pani Olivier i Maurycy czekali na nią ze śniadaniem.

Śniadanie odbyło się podobnie jak inne. Gniewano się trochę na Maurycego, że mało je, opowiadano sobie wzajemnie jak przepędzono rano; Leonia żartowała sobie z kuzynką, który robił wystraszone miny, słuchając o jej ekscentrycznościach, pani Olivier opowiadała najświeższe nowiny, wyczytane w dziennikach francuskich. Następnie Maurycy wstał od stołu, a ciotka również udała się do swego pokoju, gdzie całymi dniami siadywała przy oknie, zajęta wykańczaniem niesłychanie pracowitych robótek, które spodziewała się zrobić niespodziankę swej siostrzenicy. Pan de Nançay pod pozorem napisa-

nia kilku od dawna zaległych listów, udała się do swego saloniku. Tutaj zaczęła palić papierosy, od czasu do czasu spoglądając na zegar stojący pomiędzy japońską popielniczką, a francuskim romanssem o kartkach do połowy porozcinanych i dwoma jej własnymi portretami, z których stosunkowo jeszcze najmniej była niezadowolona. Swoje postanowienie zrobione w ogrodzie traktowała zupełnie poważnie i równie poważnie śledziła ruch wskazówek na zegarze. — Druga; — kwadrans, — za pięć minut pół... — Przez jakąś instynktową niepocziwość zmieniła swoją męską toaletę, którą miała rano, na wspaniałą bladoróżową suknię, przybraną koronkami, z bladoróżowym paskiem i kokardami. Piękne jej ramiona do łokci były obnażone... — Pięć minut po trzech kwadransach... za dwie minuty trzecia... — Wskazówka miała stanąć na trzeciej, gdy w tejże chwili odezwał się głos dzwonka i służący wszedł zapytać czy pani hrabina przyjmie sir Artura Strabane. Po ustach młodej kobiety przemknął uśmiech tryumfu. — Prosić — odparła szybko. Za chwilę drzwi się otworzyły i Strabane wszedł do salonu. Na twarzy jego malował się wyraz dziwnej stanowczości.

— Jak to ładnie ze strony pana, że się już nie dąsamy, tylko przychodzimy przeprosić — odezwała się Leonia zaraz na wstępie z pieszczotliwym uśmiechem.

— Niechże pan siada — dodała, wskazując mu taburecik końcem szydełka, które wraz z kłębkim brązowej włóczki wyjęła ze swego koszyczka na robotę. — Niech pan tylko nic nie mówi — ciągnęła dalej, nie dając mu przyjść do słowa — znowu wydałam się raz panu zanadto „fast“ jak mówią Anglicy, nieprawdaż? Pan naturalnie dał mi to zaraz do zrozumienia i teraz ma pan z tego powodu wyrzuty.. No, ale ja okażę się wspaniałomyślną i daruję panu całą pokutę... Idź pan w pokoju i nie grzesz więcej — dodała grożąc zalotnie młodemu człowiekowi końcem swojego szydełka.

— Pani się myli — odparł sir Artur tonem poważnym, który stanowił dziwny kontrast z żartobliwym sposobem mówienia Leonii. Nie przychodzi się wcale przed panią tłumaczyć, gdyż nie poczuwam się do najmniejszej winy względem pani.

— Bardzo dobrze — odparła Leonia, składając robotę i zapalając nowego papierosa — jak widzę, zanosi się na drugą scenę. Scena albo przeprosiny, to jedyna alternatywa, jaka pozostaje mężczyźnie, gdy sam popełni jakiś błąd. A zatem słucham pana...

— Wszystkie Paryżanki mają wielką swadę — wymówił sir Artur powoli.

Przypomniał sobie słowa wyrzeczone do

siebie, przy powzięciu ostatecznego postanowienia: „Trzeba z tem raz skończyć. Albo ona mnie kocha, albo nie. Raz muszę być tego pewnym“. Śmiech Leonii denerwował go niewypowiedzianie. Zdawało mu się, że młoda kobieta musiała zrozumieć tę jego prawie aż tragiczną zazdrość, jakiej był ofiarą. Nie mógł znieść tej okropnej antytezy, jaką stanowiła powaga jego bólu i cierpienia, a lekki, swobodny ton Leonii, właściwy światowym kobietom.

— Tak — ciągnął dalej po chwili — pani odznacza się wielką swadą i wielkim dowcipem, czy przypomina sobie pani jednak tytuł jednej komedyi ulubionego pani Musset'a?

— „Między ustami a brzegiem puharu?“ — zapytała pani de Nançay złośliwie

Ale w tejże chwili ujrzała w oczach sir Artura ten wyraz gwałtowności, który tak nie nawidziła u swego pierwszego męża. Chęć zgody opuściła ją w jednej chwili.

— Gdzież ja miałam głowę? — mówiła sobie w duchu. — Ach, wy panowie Anglicy, wyzywacie pierwsi, ale też i dostaniecie odpowiedź. Potrzebna wam nauczka. A więc, będziecie ją mieli...

— Nie — odparł sir Artur, nie zmieniając swego poważnego i smutnego tonu. — Nie „Między ustami a brzegiem puharu“, tylko:

„Nie igraj z miłością“. Pozwoli pani, że jej przypomnę rozmowę, jaką mieliśmy przed trzema miesiącami, gdy miałem zaszczyt oświadczyć się o rękę pani. Odpowiedziała mi pani wówczas..

— Żebyś pan poczekał sześć miesięcy — prze-rwała Leonia. — O ile mi się zdaje do lipca jeszcze dość daleko.

— Przyjąłem tę odpowiedź — mówił dalej Strabane — gdyż sądziłem, że pani istotnie chce się nad własnym sercem zastanowić. Nie mogę jednak zgodzić się na to, żeby pani oznaczyła ten termin jedynie w celu dręczenia mnie.

— Jestem dziś wyjątkowo łaskawą — odparła Leonia; — lekcyja szermierki z Jerzym wprawiła mnie w pyszny humor i dlatego to pozwalam panu to wszystko mówić.. Hm, w celu dręczenia pana? I w jakież to sposób, jeśli wiedzieć wolno?

— Swoją poufałością z mężczyznami, których jedno spojrzenie powinno panią obrażać — odpowiedział sir Artur gwałtownie. — Jeżeli pani nie ma zamiaru zostać moją żoną, niech mi pani to powie przez litość. Jeżeli zaś jest przeciwnie, niech pani dla mnie poświęci tamtych. Czuję, że jestem w stanie oszaleć z zazdrości.

— Czy może o markiza de Bonnivet jest pan zazdrośny? — zapytała.

— O pani wie aż nadto dobrze, że mówię o księciu — odparł sir Artur. — On się stara

o panią, ja to wiem, ja to czuję, ja to widzę, ale ja tego nie zniosę.

Przy tych słowach twarz jego przybrała wyraz zarazem bolesny i okrutny. Ale ta boleść nie wzruszyła pani de Nançay, widziała tylko okrucieństwo tej zazdrości, a bojąc się, by ten człowiek, który widocznie zaczynał tracić panowanie nad sobą, nie dopuścił się jakiej gwałtowności, podniosła się z kanapy. On wstał także. Podeszła do dzwonka i pocisnęła guzik.

— Jeszcze się pan zastanowi — rzekła — ile słów obrażających było w tem, co pan przed chwilą powiedział. Przepraszam, że tak prędko muszę opuścić pana, ale zamówiłam mój powóz na trzecią i zaledwie mam czas się przebrać... Good bye — dokończyła, powtórnie przyciskając dzwonek.

— Żegnam panią — odparł sir Artur z ukłonem... Lodowaty spokój pani de Nançay otrzeźwił go zupełnie.

— To tylko kokietka — mówił sobie, wracając do domu. — Daję sobie słowo honoru, że pojutrze wyjeżdżam, nie ujrawszy jej więcej.

I rozkazał stangretowi zatrzymać się przed urzędem telegraficznym; chciał oznajmić lordowi Herbertowi o swoim przyjeździe.

— Cóż to za dzikus! — powtarzała sobie Leonia, podczas gdy pokojówka zmieniała jej toa-

letę — cóż za dzikus!... Powiedział mi: żegnam panią... Dobrze, jutro zobaczę go u moich nóg, skruszonego, żałującego. Ale to się źle skończy.

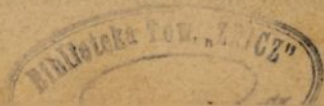
I dziwny dreszcz wstrząsnął jej postacią.

VI.

— No, jednego już się pozbyłem — mówił sobie markiz de Bonnavet z głębokim westchnieniem ulgi, wracając z dworca, dokąd odprowadził sir Artura, który twierdził, że telegraficznie został natychmiast zawezwany do Anglii. — O ile go znam, nawet listownie nie odezwie się już do nas. Znam też i Leonie. Ta nie ruszyłaby nawet palcem, aby go napowrót przywołać. Nawet najlepiej dobrane małżeństwo można zerwać w ten sposób, jeżeli się podrażni obustronną dumę i miłość własną. Teraz na drugiego kolej..

I zaczął głęboko rozmyślać o młodym księciu neapolitańskim. Wystarczało mu przypomnieć sobie tylko jego czarne oczy, równie niezgłębione jak pociągające, by zrozumieć, że Jerzy nie miał nic a nic wspólnego z gwałtownym ale szczerym i otwartym Arturem.

— Trzeba go będzie dobrze przycisnąć — mówił dalej. — Z tym jużemy się oddawna poznali i na wskrós przejrzeni...



Deszcz padał a markiz osłaniając się starannie parasolem, szedł dalej w zamyśleniu. Ze zręcznością kota, który się przechadza po stole, zastawionym różnymi kosztownymi drobiazgami, omijał błoto i wszystkie kałuże, by nie powalać swych eleganckich bucików. Wtem przejeżdżający powóz obryzgał mu ubranie; drobny ten wypadek przypomniał mu złote czasy jego minionej świetności.

— Gdy będę mężem pani de Nançay, nie znam już tych wszystkich przyjemności — pocieszał się w duchu.

Co prawda mógłby zrobić niejedną lepszą nawet partyę, sprzedając swoje nazwisko. Jednak do tego środka uciekłyby się dopiero w ostateczności. Jakimś niewytłumaczonym kontrastem człowiek ten, który się nie zawahał dopuścić nadużycia przy grze w karty, jedynie w celach zysku, nigdy nie chciałby się ożenić bez miłości, li tylko dla milionów. Cała jego próżność męska buntowała się na myśl o możliwym istnieniu „markizy de Bonnivet“ brzydkiej i bez żadnego uroku. To też jego przybycie do Florencji miało właśnie na celu ewentualne wynalezienie kobiety, któraby przy odpowiednim majątku, posiadała piękność i czar osobisty. Wszystkie te przymioty i zalety znalazł połączone w Leonii. To też z całą przezornością i systematycznością zabrał się do obłężenia młodej wdowy.

— Uroda Jerzemu nie na wiele się przyda — mówił sobie dalej — i nie jestem Bonnivet'em, jeżeli nie uda mi się go usunąć; przytem pani Anneńkow jest taka ładna!

Kobieta należąca również do planów kampanii markiza, była wielką damą, pochodzącą z Rosyi, która wzięła rozwód ze swoim drugim mężem i już od dwóch tygodni bawiła we Florencyi. Księżcia Jerzego poznała w towarzystwie i od pierwszej chwili szalenie się w nim zakochała. Zwierzyła się z tego uczucia jednej ze swych rodaczek, pani Denisow, wesołej, jasnej blondynce, zawsze ruchliwej, zawsze śmiejącej się i mówiącej. Błada i drobna o romansowym wyrazie twarzy i szarych błyszczących oczach, pani Denisow wiecznie myślała tylko o intrygach miłosnych, które brała zawsze na seryo, pod pozorem prawdziwego uczucia. Uwielbiała Bonnivet'a z powodu jego dawniejszej reputacyi.

— To idealna historia — mówiła do niego, wymawiając „idealna“ — to cudowne, to zupełnie jak w której powieści tego waszego... jakże on się nazywa?... ja się tak jego powieściami zawsze zachwycam... one takie prześliczne!... Widziała go wszystkiego dwa razy i już go kocha, już kocha... Ja przez niego głowę tracę — powiedziała do mnie — zrób tak, żebyśmy się gdzie



poznali... Jakie to śliczne zadanie, mój drogi markizie, jakie to śliczne zadanie.

— Czy ta pani miała już jaką awanturę? — zapytał Bonnivet.

— Czy miała awanturę? — powtórzyła pani Denisow z egzaltacją — ależ to przecie przez nią zabił się Borys, wie pan, ten Borys, o którym stolik wypukał... jakto, pan tego nie wie? ależ Borys Fedorowicz Karatiew, o którym opowiadałam panu całą historię... Niechże pan jeszcze raz posłucha: Byliśmy u księżny Zofii i bawiliśmy się wywoływaniem duchów... W naszym towarzystwie nie brak było i sceptyków, podobnych do pana... Wtem naraz stolik powiada: — Jestem duchem Borysa. — Jakiego Borysa? — pyta mój brat. — Borysa Fedorowicza — odpowiada stół. — To niemożliwe! — woła mój brat — widziałem się z nim dziś po południu... — Było to w Petersburgu, posłaliśmy natychmiast do Karatiewa i dowiedzieliśmy się, że się o ósmej zastrzelił, a wtedy była dziesiąta... A kto był powodem samobójstwa?... Irena Anneńkow, która go zdradziła dla jednego z moich przyjaciół, nawiasem mówiąc ślicznego chłopca.

Te urywane zdania pani Denisow przypomniały się markizowi, gdy wracał do swego mieszkania. Myślał o nich i przy obiedzie i wieczór u hrabiny Ardenza, gdzie jego protegowany,

przyszły de Figon (bez S.) cieszył się wielkiem powodzeniem, naśladowując siedemnastu aktorów paryzkich, na temat sławnej piosenki Musset'a: „Si vous croyez que je vais dire“... Była to jedna z jego tajemnic, za pomocą której torował sobie drogę w świecie

— Ja sam — zaczął: — „si vous croyez que je vais dire“..

I oddeklamował cały ustęp spokojnie i naturalnie...

— Sara Bernhardt ...

I przechylając głowę i przybierając śpiewny ton głosu, oddał mimikę i grę sławnej artystki...

— P. Baron...

— P. Delaunay .

— P. Got..

Nakoniec wy dobył z kieszeni robiony nos i przypawił go sobie zręcznie.

— P. Hyacinthe...

— Ach ! ci Francuzi ! — zawołała pani Denisow, wśród hucznych oklasków całego towarzystwa — ja ich uwielbiam ! Mój złoty markizie, niech pan mi go przedstawi, żebym go mogła mieć pojutrze wieczór u siebie. Czy pan sądzi, że on zechce i u mnie się zaprodukować ?...

Przyprowadzając Serwina de Figon do pani Denisow, markiz przewidywał możliwość wykorzystania tego co wiedział o pani Anneńkow i o

jej zajęciu się Jerzym. Jako protegujący młodego Francuza, zgodził się zorganizować ucztę, którą Serwin przed swoim odjazdem chciał jeszcze wydać w restauracyi Doney'a. Pani Denisow i jej przyjaciółka miały tam być również. Układał sobie, że posadzi piękną panią Anneńkow obok księcia. Tak jest, była to osoba bardzo piękna, no a książę bardzo młody. Nie obejdzie się zatem, by nie zajął się żywiej swoją piękną sąsiadką, co gdy raz się dostanie do uszu Leonii, nie przyczyni się chyba do podniesienia księcia w jej opinii.

— Na razie w każdym wypadku i to coś znaczy — mówił sobie markiz — a później znowu coś innego się znajdzie..

Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że pani de Nançay przy wyborze drugiego męża będzie szukała przede wszystkim głębokości i trwałości uczucia. To też sam, od czasu gdy się zaczął kręcić koło pięknej wdowy, unikał jak najstaranniej wszystkiego, co mogłoby go narażać na jakiegokolwiek plotki. Zresztą ta wstrzeźliwość nie wiele go już kosztowała. Książę Jerzy mał do zwyciężenia większe pokusy.

Rezultat tego wyrachowania był taki, że w dziesięć dni po wieczorze u hrabiny Ardenza i po odjeździe sir Artura, o godzinie pół do dwunastej w nocy, książę Jerzy udawał się piechotą

do restauracyi przy ulicy Tornabuoni, zaproszony przez pana Ludwika Serwina de Figon, nad którym to nazwiskiem figurowała na bilecie skromna korona baronowska. Młody Neapolitańczyk znajdując, że jest jeszcze za wcześnie, z rokokową błędził w tę piękną noc wiosenną, brzegami rzeki Arno. Łagodny i cichy szmer wody dochodził jego uszu. Księżyc rzucał blade światło na arkady Starego Mostu i na małą dolinę San Miniato. Na niebie drżały roje gwiazd. Książę oddawał się całą duszą urokowi tej czarownej nocy. Kiedy niekiedy zatrzymywał się, opierał łokciami o baryerę mostu i wpatrywał się w malowniczy krajobraz. Równocześnie palił jedno z tych długich cygar, przekłutych słomą, które się zapala, trzymając je na jakimś mosiężnym przedmiocie nad świecą. Paląc tę „Virginie“ równie czarną jak mocną, nucił przez zęby popularną piosenkę, którą niedawno słyszał w salonie pani de de Nançay :

Piękny myśliwce, co idziesz na łowy,
Ta przepióreczka zawodzi tak,
Tylu już innym zakręciła głowy,
I ciebie także zwiedzie ten ptak...

— Nie — myślał książę — ona mnie nie zwiedzie, ta ładna przepióreczka, tylko ten drugi myśliwy chciał mnie oszukać.

Bonnivet ze swoim profilem dyplomaty i z licznymi zmarszczkami, które choć starannie ukrywane zdradzały jego troskliwość i dbałość o własną powierzchowność, stanął jak żywy w wyobraźni południowca. Księżę tak rozumował dalej:

— Od czasu wyjazdu Anglika, markiz stał się słodki jak cukierek, ale chociaż ryby łowią się na wędkę, księżę Jerzy nie da się złapać na cukierki...

Tak myśląc księżę przymrużył jedno oko, co zwykł czynić zawsze, ile razy mówił o czem z ironią. W takich chwilach wyraz jego twarzy stawał się niezbadany. Można w niej było znaleźć i podejrzliwość i nieufność i ironię i okrucieństwo w połączeniu z hipokryzyą. Bonnivet mawiał wtedy złośliwie:

— Widzę, że Jerzy już zrobił niedobre oko, nie wiem tylko które!...

— E, co tam! — rzekł po chwili młody człowiek, wypuszczając duży kłęb dymu — byłbym naiwny, gdybym się już teraz zaczynał tem dręczyć. Bądźmy spokojni i czekajmy co przyszłość przyniesie, jak sądzi zawsze poczciwy Hentrebise... Co za boska noc!...

Był to jeden z charakterystycznych rysów księcia, że umiał się z całą swobodą poddawać urokowi chwili obecnej nawet wtedy, gdy miał jakiś ważny plan do wykonania przed sobą.

— Jeżeli ożenię się z Leonią — myślał w dalszym ciągu — co roku będziemy na sześć miesięcy wyjeżdżali tam...

„Tam“ miało oznaczać Neapol i ziemię d'Otrante, między którymi to krajami upłynęły dni pierwszej młodości księcia.

...i tam będziemy żyli bez najmniejszej troski... I dlaczegoż ja tam zaraz dziś nie pojechałem? Ależ dlatego, że mi zostaje dwadzieścia dwa tysiące trzysta i coś franków i ani centima więcej.. Na razie toby mi wystarczyło. Czyżby mój wuj miał słuszność, gdy mówił, że cały geniusz Cavour'a nie znaczył, bo nie umiał zaprowadzić w całych Włoszech kodeksu neapolitańskiego? Dobry, poczciwy wuj! Ale mniejsza z tem! Leonia jest śliczna, będzie księżniczką, a nasz markiz zostanie na lodzie.

Na pobliskim kościółku zegar wybił godzinę, a głos jego metalicznie, dźwięcznie zadrżał w czystej atmosferze.

— Jeszcze tylko dziesięć minut włączy — powiedział sobie książę - a potem pójdziemy na kolację. Swoją drogą jestem dziś głodny jak wilk. Ciekaw jestem tylko, dlaczego Bonnivet kazał mnie zaprosić temu głupiemu Francuzowi, którego co wieczora ogrywa pod pozorem, że się nim opiekuje i proteguje go tu wszędzie? Może markiz chce mi w ten sposób oczy zamydlić po-

zorami udanej uprzejmości?... Ale niema głupich. Meno male. Szczytem dowcipu i przebiegłości jest umieć uchodzić za naiwnego.

I Jerzy odrzuciwszy niedopalone cygaro z uśmiechem na ustach wbiegł po schodach restauracyi. Kto go widział tak uśmiechniętego, mimowoli musiał pomyśleć o owych wielkich panach XVIII. wieku, których jedynem zajęciem i jedynym celem życia było bawić się i bawić sobą drugich. Tymczasem ksiązę nucił dalszą zwrotkę poprzedniej piosenki.

— Jesteś ksiązę punktualny jak żołnierz — odezwał się Bonnivet, witając go u progu niewielkiego saloniku, skąd wchodziło się dopiero do dużej sali.

— Markizie, punktualność jest przecież grzecznością ksiąząt — odparł wyelegantowany Serwin, ściskając rękę nowoprzybyłego. Wystarczało usłyszeć go wymawiającego słowa: „markiz“, „ksiązę“, by poznać, jaką mu sprawia przyjemność przystawianie z osobami naprawdę wysoko urodzonymi. Ta kolacya, wszystkie partyjki „rubikona“ z Bonnivet'em — to miały być główne wydarzenia jego pobytu we Florencyi, który nawiasem mówiąc, horrendum go kosztował.

— Mój drogi hrabio — mówił znów po chwili do jakiegoś mężczyzny w średnim wieku, który mu radził zatrzymać się w Siennie w celu zwie-

dzenia dzieł Pinturicchia, znajdujących się w tamtejszej katedrze. — Ja nawet tutaj nie miałem jeszcze czasu zwiedzić kaplicy Medyceuszów. Ciągłe tylko jakieś zaproszenie to tu, to tam... człowiek nie ma dla siebie ani jednej wolnej chwili... Zresztą nie mógłbym opuścić wyścigów w Pizie, a zaraz potem muszę jechać do Paryża, żeby być na przedstawieniu u księżny de Nade. (Serwin czytał o niej tylko w dziennikach). — Czy hrabia nie widział jej przed dwoma laty tutaj we Florencyi?... O przepraszam, właśnie przyszła pani Anneńkow z panią Denisow... Pan hrabia daruje... O... jest i pani Ardenza...

Ta ostatnia przychodziła w towarzystwie pana Vanini, który nie opuszczał jej prawie nigdy. Załatwiał jej różne zlecenia, sprawunki, zajmował się wychowaniem jej syna, słowem był jej najlepszym i najwierniejszym przyjacielem już od szeregu lat.

— Mój mąż prosił mnie, bym go wytłumaczyła przed panem — rzekła, zwracając się do Serwina — ale cierpi dziś na szaloną migrenę. Cencio — dodała, mówiąc tym razem do swego towarzysza — czy powiedziałeś stangretowi, by przyjechał o wpół do drugiej?

— No, jesteśmy już wszyscy — rzekł Bonnivet do swego protegowanego — podaj pan ramię hrabinie.



Kosmopolityczne towarzystwo, zgromadzone w saloniku, składało się z dziesięciu osób; było tam naprzód dwie Rosyanki: panie Anneńkow i Denisow, dalej Angielka, szanowna Mrs. Brown, osoba czterdziestoletnia, o zwiędłej cerze i przewyższająca prawie o głowę wszystkich zgromadzonych mężczyzn, następnie Włoszka, hrabina Ardenza, jeden Holender, który asystował pani Denisow, Vinzenzio Vanini, nie odstępny towarzysz pani Ardenza, jakiś polski hrabia, wiecznie zachwycający się Sienną i średniowiecznymi malarzami, Bounivet, potomek jednego konstabla, towarzysza Franciszka I., Jerzy, spadkobierca sławnego włoskiego nazwiska i sam amfitryon, przedstawiający w tem arystokratycznym towarzystwie, pierwiastek nowożytnej demokracji. Dziadek Serwina, który przed sześćdziesięciu laty spokojnie uprawiał swoją rolę, zdziwiłby się nie mało, widząc swego wnuka, przyjmującego u siebie biesiadników tak wysokich tytułem i urodzeniem.

Drzwi się otworzyły i oczom obecnych ukazał się stół, przybrany kwiatami, cały błyszczący kryształami i złotem.

— Dziesięć osób na kolacyi, to najlepsza liczba — mówił Serwin de Figon do swojej sąsiadki. — Można rozmawiać i razem i z osobna.. Markiz jest również tego zdania... Ach, nie uwierzy pani hrabina, jaki jestem szczęśliwy, że mam takiego przyjaciela...

Podczas tej wrzawy i wybuchów cokolwiek sztucznej wesołości, jakie towarzyszą zwykle rozpoczęciu każdej kolacyi, książę, który w oczach kobiet umiał czytać jak w otwartej książce, poznał bez trudności, że zwrócił na siebie szczególniejszą uwagę pani Anneńkow. Wprawdzie dotychczas spotkał ją zaledwie kilka razy w towarzystwie, widocznie jednak to wystarczyło, by mu pozyskać serce młodej Rosyanki.

— Czy książę stale mieszka we Florencyi? — pytała głosem, w którym drgała jakaś głębsza, serdeczniejsza nuta, ten ton, którego kobiety używają zawsze, gdy chcą się komuś specjalnie podobać. Tymczasem dokoła nich brzmiał istny chaos pytań i odpowiedzi.

— Czy była pani wczoraj na „Rycerskości wieśniaczej“?... Słyszał pan o figlu, jaki przygotowano dla kapitana Guardi? Wysłano do niego depezę z podpisem jego pułkownika, z wezwaniem do natychmiastowego powrotu!... On jest teraz w Sycylii... Cóż wczorajsza zabawa w kole świetnie się udała?

— Mój Boże — odparł Jerzy — ja proszę pani właściwie nigdzie stale nie mieszkam... Nudzę się tam, wracam napowrót tutaj.

— A obecnie nudzi się pan czy bawi we Florencyi?

Rozmowa rozpoczęta w ten sposób zaraz po pierwszym daniu doszła do takiego stopnia wyłania i otwartości, że młoda Rosyanka wyłożyła księciu swoją teorię o miłości.

— Nie uznaję — mówiła — tych wszystkich światowych kompromisów miłości z etyką. Albo się kocha albo się nie kocha.. Czytałam tylko jedną jedyną książkę, napisaną z istotnem zrozumieniem tego uczucia, jest to Zoli „Abbé Mouret“... Czy pan to zna?

Jerzy słuchając tych słów i poddając się bezwiednie urokowi pieśczośliwych oczu swej sąsiadki, ujrzał naraz panią Denisow, która siedząc po przeciwnej stronie stołu, z uśmiechem wskazała Bonnivet'owi grupę jaką tworzyli oboje z panią Anneńkow. Markiz odpowiedział również uśmiechem i ruchem głowy, który zdawał się mówić:

— Dobra nasza! Idzie jak po maśle! Pysznie się stało!...

W jednej chwili nowa myśl jak błyskawica przeleciała przez głowę Jerzego.

— Aha! jestem w domu! — pomyślał sobie stawiając napowrót kieliszek wina, który niósł do ust — Nie uda ci się, mój markizie, złapać mnie w tę pułapkę. Nie będziesz mógł pójść jutro do pani de Nançay, by jej opowiedzieć obłudnie o mojem powodzeniu u pięknej Rosyanki.

Następnie dodał głośno, nadając zupełnie inny zwrot rozmowie:

— Ja pani, nigdy nie czytuję żadnych romanśów. My, nieszczęśliwi Włosi, od dwudziestu lat pracujemy już nad podniesieniem naszej ukochanej ojczyzny... A pani wie, że czyny z literaturą nie bardzo idą w parze, bo życie czynne nie zostawia nam czasu na czytanie książek. Czytała pani może listy markizy d'Areglio?

I zaczął opowiadać pani Anneńkow o ślicznej roli kobiet piemontckich w „risorgimento“, mieszając w swe opowiadanie anegdotki o Cavourze, o Wiktorze Emanuelu, o Garibaldim, tak, że gdy wstali od stołu, stosunek ich pozostał na tej samej stopie, na której był, gdy zasiadali do kolacyi.

— I cóż? Bitwa wygrana? — zapytała pani Denisow, zbliżając się do swej przyjaciółki.

— Gdzie tam, ani nawet niewydana — odpowiedziała tamta, ze sztucznym uśmiechem. — To ładny chłopak, ale ci Włosi nie umieją bawić kobiet. Cały czas mówiliśmy tylko o polityce o królu, o związku Rzeszy... Nudny jest jak dziennik.

— Jerzy!... O polityce!.. Ależ to chyba niemożliwe!... Popsuli mi go zupełnie.

VII.

Książę był zadowolony z siebie, gdy około drugiej godziny nad ranem, wracał do swego mieszkania, które zajmował na Borgo Ognissanti. Długi czas starał się o to mieszkanie, zanim udało mu się je wynająć. Znał pewnego malarza amerykańskiego, który kopiował Fra Anglica w kościele św. Marka i zajmował to mieszkanie przez kilka lat. Przebiegłszy cztery piętra znajdował się u siebie: dwa pokoje wychodziły na południe, na rzekę Arno; był tam balkon, skąd rozlegał się najcudniejszy widok na wieżycę kościołów, pałace i wille, bielejące na tle ciemnej zieleni cyprysów. Służbę pełniła służąca o grubych rysach twarzy, mówiąca charakterystycznym żargonem florenckim. Właścicielką tego mieszkania była staruszka, wdowa po oficerze, który zginął w wojnie 1866 roku. Niegdyś była ona majątną, a resztki jej minionego bogactwa, pozwoliły jej umeblować elegancko salonik i sypialnię, które wynajęte kosztowały wraz z usługą, cztery franki dziennie. Jerzy brał tę sumę, wogóle jak wszystkie swoje pieniądze z owej legendowej szkatułki, stojącej u niego na komodzie, obok różnych przedmiotów, potrzebnych do podróży. Był on rzeczywiście jak ptak na gałęzi. W kilku godzinach mógłby zrobić

wszystkie potrzebne przygotowania do drogi i wybrać się w podróż choćby naokoło świata. Tego wieczoru udając się na spoczynek, patrzył na swoją kasetkę i uśmiechnął się myśląc o figlu, jakiego udało mu się Bonnivet'owi wypłatać.

— Ciekaw jestem, czy będę lepiej spał gdy zostanę panem i władcą w willi Werekiew? — mówił do siebie. — Bo, że nim zostanę, pomimo wszelkich zabiegów markiza, to także pewne jak dwa a dwa jest cztery.

Zadowolenie Jerzego wzrosło jeszcze w kilka dni później. Było dość chłodno na dworze, a książę przyszedł do Leonii bez płaszcza.

— Czy to prawda, że pan zostawił swój płaszcz w rękach pani Anneńkow? — zapytała żartobliwie.

— Ach, pani! — odparł — gdybym był Józefem, przysięgam pani, że zostałbym nim bezwiednie.

— A przecież to osoba bardzo piękna — odrzekła pani de Nançay.

— Tak, istotnie piękna, ale ja, chociaż jestem Włochem, mam tę śmieszność, że umiem być wiernym i gdy kocham jaką kobietę, to wtedy żadna inna już dla mnie nie istnieje.

Leonia zaczerwieniła się trochę, jednym z tych ślicznych rumieńców, jakie widzi się tak często u blondynek i które sprawiają, że błękit

ich oczu nabiera jeszcze bardziej błękitnej barwy. Rumieniec ten zachwycił księcia, tem bardziej, że zauważył, że markiz już od kilku dni był dla niego coraz mniej grzeczny i uprzejmy. Jerzy uważał go za termometr, którym mógł mierzyć swoje własne powodzenie. Przypomniały mu się słowa piosenki, nucone niedawno na moście i tryumfował w duchu. Fechtował się teraz z panią de Nançay trzy lub cztery razy tygodniowo, a zawsze w obecności Bonnivet'a. Ten ostatni, będąc bardzo zręcznym szermierzem, nie dorównywał przecież księciu. Jerzy jednak dawał się zawsze wspaniałomyślnie pokonać. Był on o wiele zwinniejszy i silniejszy od markiza, a w swoim kostiumie szermierskim wyglądał tak młodo, że Bonnivet pomimo swego znakomitego zakonserwowania nie mógł się z nim nawet porównać. Już sama różnica cery wystarczała, by zdradzić ich wiek i Leonia nie mogła się powstrzymać, by sobie nie zrobić w myśli tej samej uwagi.

— No, księżę — mówiła w przestankach — zaśpiewaj teraz jaką romancę swojej pani.

Księżę wówczas siadał na ziemi, nie pomagając sobie przytem nawet rękami. Jeszcze będąc dzieckiem celował w tej sztuce, której jego rywal nie mógłby nawet próbować, gdyż wiek pozabawił go zwinności i lekkości ruchów. Ze złożonymi na krzyż nogami, brał Jerzy szpadę do

ręki w miejsce gitary i ze zręcznością aktora naśladował ruchem palców brząkanie w struny. Następnie zaczynał jedną z tych szalonych piosenek neapolitańskich, które Leonia tak bardzo lubiła. Głos jego był czysty i o szlachetnem brzmieniu, a mimika doskonała, niezminiająca jednak nigdy jego twarzy lub ruchów w karykaturę.

— To najprzyjemniejsza chwila z całego dnia — zawołała pani de Nançay. — Niech pan jeszcze raz tę piosenkę powtórzy...

Księżę wyglądał zachwycająco i sam był zachwycony. Łatwość jego charakteru pozwalała mu cieszyć się jak studentowi radością każdego dnia, licząc równocześnie z zimną ambicyą, co jutro mu przyniesie. Ta piękna wiosna florencka zapisywała się najśłodszymi wrażeniami w jego pamięci. Uśmiech Leonii, nadzieja szczęścia, jasne słońce, nawet powodzenie przy kartach, wszystko to składało się, by go uszczęśliwić. Jakkolwiek zdradliwa dama pikowa pozbawiła go już znacznej części jego majątku, w ostatnich czasach zaczął grać na nowo, jeżeli wogóle partyjka „écarté“ o pięćfrankowej stawce mogła się tak nazywać.

Pewnego wieczoru Leonia wobec Jerzego była więcej zalotną niż zwykle. Poprzednio odbyli wspólną przejażdżkę do klasztoru Kartuzów, gdzie znajduje się prześliczny pomnik jakiegoś

biskupa, wykuty w kamieniu z bosemi nogami, z mitrą na głowie. Następnie późnym już wieczorem Jerzy udał się do klubu. Właśnie gdy tam wchodził, jakiś nowoprzybyły dyplomata turecki, który w przejeździe zatrzymał się we Florencyi, proponował markizowi partyjkę rubikona. Markiz wymawiał się potrzebą złożenia jakiejś wizyty, na którą był dziś proszony. Księżę słysząc to, nie mógł się oprzeć chęci upokorzenia swojego rywala. Opowiadano sobie w klubie i nie bez pewnej słuszności, że Bonnivet, znajdujący się w równie przykrych stosunkach materyalnych co i Jerzy, jeżeli nie w gorszych, tylko wtedy zasiada do zielonego stolika, gdy jest zupełnie pewny wygranej.

— Czy przyjmie mnie pan za partnera? — zapytał księżę cudzoziemca, a po chwili, gdy zasiedli naprzeciw siebie, dodał:

— Po ile stawiamy?

— Zgadza się pan na luidora? — odparł Turek. Człowiek ten przybył do Europy, zahypnotyzowany przez Khalil-beja, pamiętnego swą wystawnością i przepychem, to też przebiegając kluby Włoch, Francyi, Anglii i Hiszpanii ciągle miał ten wzór przed oczyma. Stawka po luidorze była zwyczajem Khalila. Przyswoił go więc sobie także.

— Niech będzie po luidorze.

Księżę przyjął warunki swego przeciwnika

z taką nonszalancyą. jak gdyby nie był wcale człowiekiem zrujnowanym. Nie uszło to uwagi markiza.

— Czyż tak jest pewny swojego małżeństwa, że już teraz zaczyna na nie liczyć? — spytał się Bonnivet w myśli.

Markiz był zmuszony wyjść z klubu, naturalnie nie ujrawszy rezultatu rozpoczętej gry. Widoczne niezadowolenie, jakie z tego powodu odmalowało się na jego twarzy, było dla Jerzego powodem nowego tryumfu jego miłości własnej. Tryumf taki w rywalizacjach tego rodzaju, należy do najprzyjemniejszych uczuć. Tymczasem turecki dyplomata zaczął tasować karty. Jego cienkie białe ręce poruszały się zręcznie i szybko. Świece stojące na stole oświecały jego długą, chudą twarz, na której ogolona broda zostawiła ślady zielonawe, jak to często widać na starodawnych portretach.

— Ten Arab dał mi fatalne karty — myślał sobie książę — ani jednego kara i ani jednego asa... a pozostałe karty są bardzo złe... Przyjemnie było zaimponować Bonnivet'owi, ale swoją drogą, zrobiłem kolosalne głupstwo ..

— Już przeszło dwieście luidorów poszło — pomyślał po upływie pewnego czasu. — Gram uważnie, ale z tem wszystkim zaczynam brnąć.

Cały jego niewielki mająteczek stanął mu przed oczyma i ujrzał w myśli zaledwie dwadzieścia cztery biletów bankowych, leżących na dnie jego szkatułki.

Tymczasem na niego przyszła kolej rozdać karty.

— Ale to ja mam dzisiaj szczególniejsze szczęście — zauważył jego przeciwnik po chwili.

Po przegraniu czwartej partyjki i po obliczeniu, Jerzy ujrzał się kompletnie „zrubikonowany“. Przegrał przeszło pięćset luidorów. Zrobili jeszcze dwie partyjki i zawsze z tym samym rezultatem. O godzinie pierwszej po północy książe wstał od stolika, przy którym stracił piętnaście tysięcy franków.

— Niema innej rady — mówił sobie nazajutrz, wychodząc z hotelu, gdzie właśnie uregulował swój dług wczorajszy, zaciągnięty przy kartach — nie, niema na to innej rady. Albo napiszę do wuja, żeby mnie ożenił z jaką bogatą dziedziczką... albo pani de Nançay. Nie mam czasu namyślać się dłużej. Wkrótce wpadnę w długi i będę zmuszony chyba wstąpić w zacne ślady Bonnet'a. A zatem, do czynu Jagonie!

Skinął na przejeżdżającą dorożkę. Książe Jerzy nie należał wcale do ludzi bardzo skrupulatnych, a pomimo pozorów lekkomyślności, widział rzeczy jasno i trzeźwo.

— Raz już się jej oświadczyłem — myślał, jadąc szybko w kierunku willi Werekiew — powiedziała, że mi da stanowczą odpowiedź za sześć miesięcy i tak długo mogę jeszcze poczekać. Jednak dajmy na to od dziś za sześć miesięcy, wszystko mogłoby już być inaczej. Teraz jestem w łaskach, więc korzystajmy ze sposobności.

Młody człowiek od chwili poznania Leonii, zastanawiał się dużo i głęboko nad jej charakterem.

— Jeżeli mnie kocha, to zgodzi się choćby jak najprędzej zostać moją żoną — myślał dalej. — Jeżeli mnie kocha?... A czemużby mnie kochać nie miała?

I z drozbiazgową dokładnością przypominał sobie ich stosunek, jaki był w ostatnich czasach, a zwłaszcza wczoraj. Czyż nie przytuliła się do niego, gdy jej podał ramię, przy schodzeniu z kręconych schodów w klasztorze Kartuzów? A z jakim czarującym uśmiechem przypięła sobie do stanika kwiaty, które on jej zerwał po drodze! Te wspomnienia jeszcze bardziej zdecydowały księcia Jerzego. Atmosfera była ciężka i parna, burza zdawała się wisieć w powietrzu.

— Taka pora zawsze daje na nerwy — myślał książę, uśmiechając się do siebie. — Wszystko mi sprzyja, więc próbujmy.

Pani de Nançay była zupełnie sama, gdy Jerzy wszedł do małego saloniku. Siedziała przy stoliku, zajęta pisaniem listu. Miała na sobie suknię, przybraną czarnemi koronkami i pomarańczowym paskiem, a w oczach i w uśmiechu jakiś wyraz tęsknoty.

— Jak to dobrze, że pan przyszedł — odezwała się, wyciągając rękę do młodego człowieka — jestem dzisiaj w moich „blue devils“.

— Niestety i ja nie mam dziś pani nic innego do ofiarowania — odparł książę, siadając tuż obok niej na bardzo niskiej kozetce i całując podaną mu rączkę. — Jedyna różnica w naszych usposobieniach jest zapewne tylko ta, że powody pani smutku są więcej urojone, mojego zaś rzeczywiste.

— Ach! — odrzekła Leonia z żywością — czy kto potrafi kiedy zrozumieć cierpienia drugich?

— Zdaje mi się, że ja rozumiem panią bardzo dobrze — odpowiedział książę. — Pani cierpi, bo prowadzi życie przeciwne prawdzie natury.. Spojrz tam pani... — dodał, wskazując jej ręką niebo, którego wazki skrawek widać było, pomiędzy długimi firankami okna — spojrz pani na te kwiaty — i dotknął ręką wątlých róż herbacianych, więdnących w wazach ze szkła weneckiego i napełniających pokój swą wonią — niech pani spojrz na cośkolwiek bądź w świetle tej pięknej, szczęśliwej wicsny. Wszystko dookoła

mówi pani tylko o miłości, o potrzebie kochania... nawet i pani serce także... Pani każesz mu milczeć, a ono cierpi... Tu leży tajemnica pani smutku.

— Miłość — odrzekła Leonia głosem pełnym przygnębienia -- zawsze i wszędzie ta miłość!... Zdaje się, że zdaniem niektórych ona powinna być alfą i omegą życia kobiety.

— Żałuję pani — odparł Jerzy tonem bardzo poważnym, a ton ów, tak niepodobny do jego zwyczajnego sposobu mówienia, nadawał tylko większej wagi jego słowom.

Słowa te odpowiadały zupełnie jego powierzchowności. Ze swem bladym czołem, ocienionem gęstwiną włosów, z blaskiem w płonących oczach, mógł śmiało i bez narażenia się na śmieszność mówić te słowa tchnące namięttem rozegzaltowaniem, a których kobiety tak chętnie słuchają nawet i wtedy, gdy one wychodzą z ust ludzi o mniej pociągającej powierzchowności.

— Tak jest, żałuję pani, bo pomimo tej czarnej melancholii, jaką staram się ukrywać pod maską wesołości, jestem stokroć od pani szczęśliwszy! Cierpię ale przynajmniej wiem, że żyję.. Ja tak panią kocham!.. — dodał biorąc ją za rękę.

Leonia zwróciła się ku niemu, wzruszona muzyką tego głosu, a jej oczy miękko i pieszczot-

tliwie spotkały się z wzrokiem młodego człowieka. Ten zdawał się na to tylko czekać. Wymawiając ostatnie słowa i sam poddając się wzruszeniu, jakie w nich brzmiało, nie tracił jednak z oczu swego celu. Drugą ręką, którą miał wolną objął kibić Leonii i przyciągnął ją ku sobie, z początku tak słabo i nieznacznie, że nie stawiała mu nawet żadnego oporu. Po chwili jednak, gdy uczuła gorący jego oddech na swej twarzy i usłyszała słowa: — Leonio, kochaj mnie... — zerwała się z kozetki i odepchnęła Jerzego. Ten zamiast ją zostawić, zerwał się również i usiłował ją objąć jeszcze silniejszym uściskiem. Zaczęła mu się wyrwać, a gdy księżę, tracąc zupełnie zimną krew, jaką jeszcze miał przed chwilą, pochwyił ją za obie ręce, krzyknęła, a na jej pięknej twarzy widać było tyle gniewu, że księżę poznał w jednej chwili, że gniew ten nie był udanym.

— Nie zasłużyłam na to — mówiła przerywanym głosem — nie zasłużyłam na to...

I wyrwawszy mu się ostatecznym wysiłkiem, uciekła w przeciwny kąt pokoju. Ale tam zamiast kogoś zawołać lub zadzwonić, uczuła, że jej energia ją opuszcza, że nerwy wypowiedają jej posłuszeństwo i wybuchnęła serdecznym płaczem.

— Zachowałeś się pan nikczemnie — mówiła

przez lzy. — Nie mów mi pan już nigdy o swojej miłości...

— Jeszcze jedna partya przegrana — pomyślał księżę — widocznie zaczęła się ich cała serya.

A głośno dodał:

— Pani! Nie wiem, doprawdy, jak mam panią za to przeprosić.

I w myśli dokończył:

— Jeżeli krok zrobię naprzód, zadzwoni i jestem zgubiony.

— Nigdy tego nie daruję panu — brzmiała odpowiedź.

Gniew Leonii był tem większy, że słuchając słów księcia, uczuła istotne wzruszenie. Pomimo jednak tej niekonsekwencji była to kobieta czysta i uczciwa, a w dodatku, jak wiele kobiet, które były nieszczęśliwe w małżeństwie, bała się śmiertelnie brutalności mężczyzn. Szał w jakim widziała Jerzego, zniszczył zupełnie cały ten urok, jaki wywierał na niej młody księżę od wyjazdu sir Artura.

Odgłos dzwonka przerwał ich milczenie. Leonia spojrzała na księcia, jak gdyby mu powiedzieć chciała: — Widzisz na jakie mnie narażasz nieprzyjemności ..

Do salonu weszła hrabina Ardenza, cała omdlewająca z gorąca i z nieśmiertelnem imieniem na ustach:

— Cencio mi powiedział... Cencio mi pokazał... Cencio to, Cencio tamto...

Widać było, że jej „patito“ i jej syn, byli dla niej istotnie całym światem i że Cencio był w jej życiu rzeczywiście tylko rodzajem faktotum. Stosunki włoskie mają tę pewną cechę mieszczańską, która ani zblizka ani zdaleka nie jest podobna do tego, co z tej strony Alp nazywa się intrygą miłosną. Leonia nie tylko nie czuła się oburzona tymi szczegółami ich poufałości ale nawet przeciwnie, wzruszały ją one poniekąd.

— Cencio musi ją kochać — myślała -- nie może się z nią ożenić, więc obchodzi się z nią tak, jak gdyby była jego żoną. A tymczasem Jerzy, który mógłby się ze mną ożenić, traktuje mnie jak ulicznicę.

Nazajutrz wstręt i obrzydzenie powiększyły się jeszcze, gdy Bonnivet opowiedział jej o stratach księcia Jerzego.

— Ach! — pomyślała sobie — więc to nie była nawet namiętność, tylko proste wyrachowanie! I ja poświęciłam sir Artura dla takiego nędznika!..

VIII.

— Co myślisz o markizie de Bonnivet? — pytała Leonia w kilka tygodni później swojego ku-

zyna Maurycego. Oboje przechadzali się po ogrodzie willi w piękne gorące lipcowe popołudnie. O sir Arturze Straban nie było żadnej wieści. Jerzy po nieudanej próbie wyjechał z Florencyi i udał się do swego wuja, właściciela pięknego zamku w Manduryi, niedaleko Lecce. Bonnivet, który od tego czasu stał się codziennym niemal gościem Leonii, nie ukrywał się już wcale ze swoimi zamiarami. To też Maurycy usłyszawszy to niespodzianie rzucone pytanie Leonii, uczuł, że trwoga ściska mu serce. Uczucia ciche i tajone jak to, które on żywił dla swej kuzynki, posiadają dar rzadkiej przenikliwości. Samotność uspasabia do ciągłych refleksyj nad najdrobniejszymi faktami, odnoszącymi się do istoty ukochanej. Refleksye te zamieniają się następnie w cały szereg rozumowań, z czego wynika fenomenalna bystrość, równająca się prawie jasnowidzeniu. Można by powiedzieć, że człowiek, który kocha, posiada odrębne narzędzia zmysłów, by obserwować i interpretować życie ukochanej osoby. Maurycy był bardzo rzadko obecny wizytom, które przyjmowała pani de Nançay, a jednak przechodził w myśli te wszystkie zmiany, jakie w ciągu ostatnich kilku miesięcy zbliżały, to oddalały od niej kolejno sir Artura Strabane i księcia Jerzego. Dzisiaj dzięki wskazówkom różnego rodzaju, zdawał sobie doskonale sprawę z tego, że

markiz z każdą niemal godziną pozyskiwał sobie coraz to większą sympatyę Leonii. Ten zręczny człowiek otaczał młodą kobietę tak delikatnemi staraniami i taką troskliwością, tak dobrze umiał się oburzać na gwałtowność Anglika, a zdradliwość i podstępność Jerzego, tak doskonale potrafił jej okazywać swą cześć i szacunek, a zarazem i to rzadkie zrozumienie i odczucie najsubtelniejszych odcieni cierpiącej duszy, że z czasem Leonia przysła do przekonania, że oddanie ręki markizowi było dla niej jedynem rozwiązaniem sytuacyi, która nie mogła przeciągać się już dłużej. Zuchwałe wystąpienie księcia pokazało jej niebezpieczeństwo tych drobnych codziennych poufałości, a zarazem oduczyło ją raz na zawsze tej szalonej chęci flirtowania.

— Bonnivet przeszedł już wprawdzie nietylko trzydziestkę ale i dobrze czterdziestkę, lecz mimo tego, jest człowiekiem bardzo miłym i dobrze wychowanym — myślała. — Jest przytem ogromnie dobry. Będzie mnie kochał trochę po ojcowsku, ale przynajmniej bez tej brutalności, której tak nienawidzę. Może nie będę z nim szczęśliwą, lecz w każdym razie zadowoloną i spokojną... Miłość taką, jaką spotykamy w książkach, można odnaleźć tylko w naszych marzeniach. Trzeba się stać napowrót rozsądną i praktyczną ..

Pod wpływem tych wszystkich myśli. stała się z markizem bardziej poufałą i serdeczną. Jakkolwiek jeszcze żadne stanowcze słowo nie zostało wymówione między nimi, oboje wiedzieli bardzo dobrze ku jakiemu celowi zmierzają, a Bonnivet wobec tej kobiety tak delikatnej i tak jeszcze młodej, sam czuł się wzruszonym, naturalnie o ile jego natura podstarzałego i mało skrupulatnego Don Juana pozwalała mu na podobne wzruszenie. Z radością myślał o szczęściu, jakie go spotka u schyłku prawie życia Leonia była równie dobra, jak piękna i bogata.

— To będzie — myślał — koniec godny mnie....

Maurycy chociaż nie zgłębił charakteru markiza, znał jednak doskonale tę nie sympatyczną, jaka go wiązała z Leonią, to też cierpiał tem bardziej, słysząc ją powtarzającą uparcie :

— No powiedz mi co myślisz o markizie?... Zdaje mi się, że ty go nie lubisz...

— Z czego ma ci się to zławać?... — odparł młody człowiek zaczerwieniony. Był on już przyzwyczajony do tych upojeń i udręczeń ukrywanego uczucia i teraz sama myśl, że Leonia mogłaby poznać co się w jego sercu dzieje, męczyła go niewypowiedzianie. Czyż przyznanie się do antypatii, jaką czuł dla markiza, nie byłoby zarazem i przyznaniem się do tego drugiego

uczucia, które panowało w jego sercu? Odpowiedział więc spokojnie:

— Nie znam tak dalece pana de Bonnivet, ażebym mógł go osądzić, ale wydaje mi się bardzo miłym i grzecznym człowiekiem.

Piękna twarzyczka Leonii rozjaśniła się na te słowa. Dziecinnym ruchem, jakiego często używała w swej roli starszej siostry wobec kuzynka, wzięła go pieścotliwie za rękę.

— Jaką ty mi robisz przyjemność, że tak mówisz — odezwała się do niego — a ja się tak obawiałam!... A zatem — dorzuciła czerwieniąc się z kolei — nie czułbyś się zbyt nieszczęśliwym gdyby ten pan został twoim kuzynkiem?

Chłopak spojrział na mówiącą i wyczytał w jej błękitnych oczach, ile wagi przywiązywała do swego pytania. Już od dawna, bardzo dawna, od dnia, w którym zaczął ją kochać, był przygotowany na to, że kiedyś, prędzej czy później, nadejdzie ta fatalna chwila, gdy ona mu powie: — Wychodzę za mąż. — Jednak z podobnemi przygotowaniem jest to samo, co z odwagą rodziców czuwających nad łóżem umierającego suchotnika. Wiedzą, że on skazany, a jednak śmierć jego spada na nich niespodzianie. Maurycy uczył taki szalony ból, że przez chwilę zdawało mu się że zemdleje. Pomimo tego zdołał jeszcze odpowiedzieć:

— Jakto! więc nasze szczęśliwe życie już się skończy?

— Nie, nigdy -- zawołała Leonia z rodzajem uniesienia — będziesz dalej mieszkał przy mnie jak i teraz. Ach! mój kochany braciszku — dała przyciągając go i całując w czoło — jak możesz myśleć, że ja cię opuszczę?... Pierwszym warunkiem kontraktu małżeńskiego będzie właśnie to, że zatrzymam przy sobie mego drogiego kuzynka.

— Teraz tak mówisz — odrzekł młody człowiek — a potem twój mąż powie inaczej.

— Ach ty niemądry! Przecież ja właśnie dlatego wybrałam markiza. Gdybyś ty wiedział, z jaką on delikatnością wspomina zawsze o tobie!

Ta sympatya Bonnivet'a jeszcze więcej niż wszystko inne, zraniła młodego chłopaka. Każda życzliwość tych, których nienawidzimy, albo obraża nas, albo doprowadza do jakiegoś rodzaju rozpacz. Maurycy odwrócił się, by ukryć swą zmienioną twarz i zerwał dwie róże, które podał Leonii, nie patrząc na nią. Ta zauważyła natychmiast zakłopotanie swego biednego kuzyna, trudno jednak było przypuścić, by przypisała je właściwej przyczynie. Jak mogła się domyśleć, że ten młody człowiek, który wczoraj jeszcze był dzieckiem, który razem z nią wzrósł i wychował

się, kocha ją uczuciem innym niż to, które brat ma dla siostry? Leonia знаła tylko tę prawie chorobliwą wrażliwość jego serca. Wiedziała, że to ich życie pędzone w trójkę już od kilku miesięcy, będzie musiało uleść pewnej zmianie, gdy czwarta osoba wejdzie w ich kółko rodzinne. To też mówiła sobie, że Maurycy widzi tę zmianę nieuniknioną i dlatego cierpi z tego powodu.

— No bądźże grzeczny — mówiła całując go znowu — bądź grzeczny. Zresztą — dodała z uśmiechem — właściwe nic się jeszcze nie stało.

— Nie, nic się jeszcze nie stało i nietrzeba dopuścić żeby się co stało — mówił sobie młody człowiek, gdy został sam po tej rozmowie. Leonię odwołano do gości, a Maurycy zaczął się przechadzać po gościńcu.

— Tak jest, to się stać nie może i nie powinno, ale w jaki sposób temu przeszkodzić?... — myślał dalej. — Czyż mogę jej powiedzieć, że ją kocham? Ależ wyśmiałyby mnie. Nie uwierzyłyby mi nawet... A gdyby mi uwierzyła, byłoby jeszcze gorzej. Ona mnie nie kocha... Nie chciałyby mnie mieć dłużej przy sobie... Ach, gdyby przynajmniej została żoną człowieka, który byłby jej wart, a nie tego nędznika Bonnivet'a!...

Maurycy pod wpływem tej szalonej zazdrości, widział Bonnivet'a w jak najgorszym świetle. Jakkolwiek nie wiedział o istotnej pla-

mie, jaka leżała na honorze markiza, jednak zbyt wiele słyszał o jego przeszłości, by nim nie pogardzać. Różne głośnie sprawy Bonnivet'a w niewinnym chłopcu wstręt obudzały. Nie cierpiał również jego paplaniny światowej i zjadliwych dowcipów. Wszystkie te powody wystarczały, by mu uczynić nieznośną myśl o małżeństwie tego wroga z kuzynką. Ale co począć?

Przez całe popołudnie, Maurycy zajęty temi myślami i obawą, błędził po drogach prowadzących do Fiesole. Chwilami odpoczywał w cieniu drzew oliwnych, błyszczących jasną zielenią w złotych promieniach słońca; to znowu przechadzał się alejami cyprysów, których posępne barwy i kształty harmonizowały z jego ponuremi myślami. Mijał wille, otoczone ogrodami, w których bieleły się posągi, odbijając od lazurowego sklepienia niebios. Biednemu chłopcu łzy cisnęły się do oczu, a najszałeńsze pomysły kotłowały w głowie. W końcu zgodził się na projekt, który choć był nierozsądny, miał to za sobą, że przynajmniej dawał się uskuteczyć.

— Markiz — mówił sobie — jest przede wszystkim człowiekiem światowym... Jeżeli go publicznie ciężko obrażę, potrzeba będzie wymagała, żeby się ze mną bił. Jeżeli mnie zrani, lub jeżeli ja go zranię, małżeństwo ich zostanie utrudnione, bo w końcu Leonia zanadto mnie kocha.

a za mało jego, by mnie zupełnie jemu poświęcić.. Obrazić go ciężko?... Trudno jednak będzie uniknąć, by nie odgadnięto prawdziwej przyczyny mej antypaty, w każdym razie Leonia ją odgadnie. Bonnivet ma zawsze taki impertynencki wyraz twarzy... najlepiej będzie z tego skorzystać...

Tak myśląc Maurycy sam się przeraził swego planu. Jest to właściwe wszystkim samotnikom a zwłaszcza zakochanym, u których wybujała uczuciowość wywołuje zanik energii. Dreszcz nim wstrząsał na myśl obelgi, jaką miał wymierzyć swemu rywalowi wobec świadków. Podobne napady nieśmiałości i bojaźni kończą się zwykle u tych, którzy je przechodzą albo zupełnem sparaliżowaniem woli albo wściekłością wyuzdanego postanowienia. Tak było i z kuzynem Leonii, który ostatecznie skierował się w stronę Florencyi, zupełnie zaprzątnięty jedyną myślą spotkania swego rywala i skończenia dziś jeszcze z temi wszystkimi zwątpieniami, które tak szarpały jego biedne serce.

— Zobaczą go i pójdę za natchnieniem pierwszej myśli.

Naprzód poszedł wprost do klubu. Z biciem serca otworzył drzwi, prowadzące do głównej sali. Właśnie usłyszał głos Bonnivet'a, mówiącego : — „Król“... — Markiz grał w écarté z dru-

gim Francuzem, przejeżdżającym przez Florencję, podobnie jak Ludwik Serwin i jak ten polecony Bonnivet'owi. W salonie znajdowało się jeszcze pięć innych osób, które rozmawiały, przypatrując się grze lub przerzucały dzienniki.

— Dzień dobry, Maurycy! — odezwał się markiz ze swoim najprzyjemniejszym uśmiechem, ujrawszy wchodzącego młodzieńca. Ten odpowiedział na to pozdrowienie w sposób możliwie najchłodniejszy i z kolei zaczął czytać gazetę, by sobie nadać jakiś ton odpowiedni. Patrząc machinalnie na szpalty dziennika, myślał z pewnym rodzajem gorączki w jaki sposób wykona swój projekt.

-- Dać mu w twarz przy wszystkich nie mogę, bo zamkniętoby mnie jak waryata i nieprzyjąłby pojedynku..

Spojrzał na swego przeciwnika z tyłu. Patrzył na jego głowę, modnie uczesaną, biały kołnierzyk dość wysoki, by ukrywał niepotrzebne zmarszczki, na spadzistą linię pleców i ramion. Od czasu do czasu markiz wykonywał jakiś ruch swą piękną ręką, na której małym palcu błyszczał duży szmaragd, oprawiony w złotego węża. Ruch ten natchnął Maurycego. Bonnivet grając palił cygaro, które przy dawaniu kart kładł na metalowej popielniczce, stojącej tuż obok niego. Maurycy wstał, przeszedł się tuż

obok stołu i strącił to cygaro na ziemię. Następnie odwrócił się i spojrzał markizowi prosto w twarz, nie przepraszając go ani jednym słówkiem za to, co uczynił. Bonnivet uważając to poprostu za nieuwagę, wydobyl drugie cygaro z kieszeni, zapalił i grał dalej. Jednak w chwili gdy je położył na popielniczce, Maurycy znów przeszedł tą samą stroną i powtórnie strącił cygaro. Bonnivet nie mógł się powstrzymać od ruchu niecierpliwości..

— Niezgrabiasz... — mruknął przez zęby.

A głośno dodał:

— Wiesz Maurycy, to tak wygląda, jakbyś mi to robił naumyślnie.

— Panie markizie — odparł Maurycy z drżeniem w głosie — zakazuję panu, czy pan słyszy? zakazuję panu mówić do mnie tym tonem.

Markiz uchodził za człowieka bardzo drażliwego na punkcie honoru, to też wszyscy obecni słuchali z natężoną ciekawością, jaka odpowiedź nastąpi. Sam Bonnivet tak był zaskoczony tem niespodziewanem wystąpieniem Maurycego, że przez chwilę nie przemówił ani słowa. Błyskawicą przemknęła mu przez głowę myśl, że Maurycy kocha swoją kuzynkę i dlatego szuka z nim sprzeczki, by przeszkodzić temu małżeństwu

— Zobaczymy o co mu właściwie chodzi — pomyślał markiz — Trzeba jeszcze spróbować. Na ten raz bądźmy cierpliwi.

I głosem pełnym niezwykłej słodyczy, odezwał się jak pobłażliwy nauczyciel do swego ucznia:

— Niepotrzebnie się unosisz, Maurycy, albo nie zrozumiałeś mnie dobrze.

— Zrozumiałem pana doskonale i wiem dobrze co mówię — odparł tamten — powtarzam panu, że pański ton mi się nie podoba i to nie od dzisiaj. Jak uważam, zaczynał go pan już zmieniać.. To bardzo szczęśliwie.. Człowiek przez całe życie się uczy..

— Panowie — odezwał się markiz, w którym teraz wezbrał gniew, chwilowo przytłumiony — przepraszam was najmocniej za tę przykrą scenę. Za godzinę, mój panie — dodał obracając się do Maurycego — dwóch moich przyjaciół będzie miało przyjemność zapytać pana, jakim właściwie tonem życzysz sobie, bym do ciebie mówił.

— A ja będę miał przyjemność również przez dwóch przyjaciół dać im odpowiedź — odrzekł Maurycy i skłoniwszy się lekko wyszedł.

— Teraz ja miałem dawać — odezwał się markiz do swego partnera, zapalając trzecie cygaro; skończymy jeszcze naszą partycję, czy chcesz pan?

A tasując karty, myślał sobie:

— Głupia awantura! Trzeba się będzie bić z tym osłem. Czy to nie jest pech? Ba, pocieszam się tylko, że mój przyszły kuzynek poprzestanie na kilku kroplach krwi. Pogodzimy się zaraz na miejscu. Wytlumaczę Leonii, że oszczędzałem go tylko przez wzgląd na nią. Jednak swoją drogą te szpady są takie zdradzieckie! Powinienem był przewidzieć to szaleństwo. Ten chłopak poprostu pożerał ją zawsze oczyma, takie dziecko!... Nigdy nie można być na wszystko przygotowanym... Mniejsza z tem, jakoś to będzie..

Po skończeniu gry wstał by się porozumieć z dwoma osobami, które były obecne zaszłej scenie.

— Szpady... za miastem... do pierwszej krwi... i jutro do dnia...

Temi słowami streścił swoje zamiary, w razie gdyby im się nie udało ich pogodzić, a wracając do domu, powtórzył sobie raz jeszcze:

— Głupia awantura!

IX.

Powyższa scena odbyła się we wtorek a we czwartek wieczór dwie kobiety w najwyższym niepokoju chodziły tu i tam w willi Werekiew. Jedną była pani Olivier, drugą Leonia.

Markiz miał słuszną, nazywając szpadę zdradziecką bronią. W tym nieszczęsnym pojedynku Maurycy dobrze wymierzonym ciosem zmusił go do równie silnego odepchnięcia i po małej chwili ciężko zraniony padł na ziemię. Matka prawie oszalała z rozpaczy, zaledwie znajdowała dosyć siły, by wykonywać przepisy i zlecenia lekarza, który twierdził, że na razie nie można orzec nic stanowczego. W chwili, gdy miała pójść do pokoju syna, by czuwać nad nim, zrobiło się jej słabo.

— Ja pójdę — powiedziała Leonia.

Gdy weszła do pokoju chorego, sen właśnie zamknął na chwilę jego oczy. Leonia stanęła nad łóżkiem i długo patrzyła na tę twarz wybladłą.

— Dlaczego on się właściwie pojedynekował? — zapytywała się w duchu.

Uprzedzona przez markiza, napróżno błagała i zaklinała Maurycego, by dał pokojową drogą załagodzić tę całą sprawę. Nieszczęśliwa młoda kobieta nie miała nawet odwagi spojrzeć w oczy straszliwej prawdzie. Tymczasem gdzie tylko rzucała okiem, wszystko zdawało jej się odpowiadać na to pytanie. Na ścianach były porozwieszane jej fotografie, na stołach porozstawiane pamiątki podróży wspólnie odbytych. Na dużym stole, stojącym przed oknem, które wychodziło na ogród, gdzie przechadzała się tak często, czyje portrety stały w ramkach, które ona sama mu po-

darowała? Jej własne, a było ich może z dziesięć, robionych w różnych epokach jej życia. Jeden, przedstawiający ją małą dziewczynką, z rozpuszczonemi włosami, drugi z profilu, trzeci en face, czwarty przedstawiał ją już jako dorastającą panienkę w kostymie, w którym grała w komedyjce, na innym była już jako dorosła panna, jeszcze na innym jako mężatka, a w końcu taka, jaką była już we Florencyi. Żaden z przedmiotów, zdobiących ten stół, nie był jej obcy. Poznała rączkę do pióra, która stanowiła jeden z akcesoryów na balu, gdzie tańczyła kotyliona ze swym kuzynem. Dalej ujrzała swoją kokardę, zawieszoną nad kalendarzykiem. Usiadła przy tym stole i machinalnie otworzyła tękę. Pierwszą rzeczą, która wpadła jej w oczy, był list zapieczętowany i do niej zaadresowany ręką Maurycego. Ze ściśniętym sercem i z nieopisaną trwogą Leonia złamała pieczętkę, pieczętkę, która przypominała ją także, gdyż to ona sama wybrała Maurycemu tę Dyanę Łowczynię, wyciśniętą na kopercie. Następnie zaczęła czytać list pisany niewyraźnie i widocznie w pośpiechu:

Środa, godzina pierwsza po północy.

„Gdy oczy Twoje padną na te słowa, nigdy, już nigdy więcej nie spotkają się z mojem spojrzeniem. Wtedy już nie będziesz mogła mieć do mnie żalu za to, co Ci teraz napiszę. I tak jeden

jedyny raz, pierwszy i ostatni w mojem życiu niech mi będzie wolno głośno myśleć i czuć przed Tobą. Ach, „sweet lady of my heart“ — widzisz, nie śmiem Ci nawet nigdy w naszym codziennym języku dać to imię, jakie Ci daję zawsze w myśli, — umarłbym raczej, zanim moje usta wymówiłyby choć jedno słowo z tego, co tutaj piszę. Ale gdy będziesz czytała ten list, mnie już między żyjącymi nie będzie, a gdy zginę dla Ciebie, tak jak dawni rycerze umierali dla swoich bogdanek, wtedy będziesz musiała myśleć choć trochę inaczej, niż tak, jak się o chorem dziecku myśli. Tak, ukochana, będziesz musiała, a ta jedna myśl osładza mi oczekiwanie jutrzejszego pojedynku.

Widzisz, piszę to zupełnie spokojnie, bez gorączki, jedynie by Ci wytłumaczyć tajemnicę mojego życia; o całym tem tyloletniem cierpieniu nie mogę nic, prawie nic teraz powiedzieć. Zdaje mi się, że wszystko jest skoncentrowane w tem jednym zdaniu, które Ci wypowiadam, ponieważ ono już należy do przeszłości, a którego nie śmiałbym Ci nigdy powiedzieć w czasie teraźniejszym: kochałem Cię od tak dawna, od tak dawna, od tak bardzo dawna! Czy przypominasz sobie dzień Twojego ślubu? Szłaś przez kościół z twarzą poważną i dumną. Organy grały jakiegoś tryumfalnego marsza. Nie poszukałaś nawet wzrokiem młodego człowieka, który nie chciał

należć do weselnego orszaku, bo czuł, że nie potrafiłby się wstrzymać od płaczu, a wolał, by te łzy płynęły niepowstrzymane w cieniu kościoła, niż przed oczyma tylu obojętnych osób! Tak jest, już wtedy kochałem Cię tak jak dzisiaj, z uwielbieniem, a zarazem z rozpaczą. Tem, co mi sprawiało największe katusze moralne, była świadomość, że i Ty mnie kochałaś, ale w sposób zupełnie odmienny. Gdy nieraz uśmiechałaś mi się słodko, gdy pieściłaś rączką moje włosy, gdy przychodziłaś do mego pokoju, albo zabierałaś mnie ze sobą w powozie na przejażdżkę, czułem z boleścią, a zarazem z niewypowiedzianą rozkoszą całą serdeczność tego siostrzanego uczucia. Ale ja, ja kochałem Cię nie tak jak brat kochać powinien. Ach, jak ja Ciebie kochałem! Z jakim szczęściem, pomimo wszystkiego, żyłem przy Tobie w czasie Twego wdowieństwa! Tak, pomimo wszystkiego! bo wiedziałem, że chociaż mnie nie kochałaś, nie kochałaś też nikogo innego! Z pewnością, że cierpiałem, bo byłem nieraz zazdrośny, ale w gruncie rzeczy wiedziałem, że jesteś wolną. I tylko dlatego, że nie mogłem znieść tej myśli, że nią być przestaniesz, wywołałem to, co się stało.

Ale trzeba mi teraz zebrać myśli. Rozmowa, którą mieliśmy niedawno, zdecydowała mnie. Miłość czyni nas dziwnie przenikliwymi, Leonio, powtarzają to nieraz. . i od pierwszego dnia od-

gadłem w tym człowieku, z którym się jutro pojedynkować będę, mojego najniebezpieczniejszego rywala. Każdej chwili śledziłem jego taktykę, z jaką zbliżał się do ciebie, taktykę, z jaką się pozbywał tych, którzy mu przeszkadzać mogli i to nie jego miłości, ale jego ambicyi!.. Gdybyś została żoną innego, już to samo byłoby dla mnie cierpieniem bez granic, ale widzieć Cię żoną człowieka, który nie chciał Ciebie, tylko Twojego majątku... to byłoby nad moje siły! Nie, najdroższa, Ty nawet nie wiesz, jak ja wystudyowałem charakter i przeszłość markiza, by dojść do takiej pewności. I Ty miałaś zostać żoną tego człowieka i zostałabyś, gdybym ja temu nie przeszkodził! Trzeba więc było koniecznie położyć między Tobą a nim jakąś nieprzebytą zaporę. Wybrałem więc najprędszy środek. Za dwanaście godzin, moja kuzynka, która mnie kocha, nie będzie mogła zaślubić człowieka, którego ja zraniłem, lub który mnie zranił, albo też, który mnie nawet zabił. Ale gdybyś wiedziała, z jaką radością narażam moje życie, żebyś nie została ofiarą tego człowieka! Często sztydziłaś z mojego romansowego charakteru, a jednak to prawda, że ja nie jestem zupełnie podobny do innych. Całe moje życie przeszło mi tylko na marzeniu o Tobie, przy Tobie, na kochaniu Cię w cierpieniach i ekstazach, o jakich pojęcia Ty nie masz nawet.

Teraz, jeżeli zginę, moja tajemnica przynajmniej nie zginie razem ze mną i nie ujrzę Cię wprowadzoną z naszego cichego rodzinnego kółka przez człowieka, którym pogardzam. Niestety! może gdy zostaniesz sama, odkrycie tego uczucia, które miałem dla ciebie, wzruszy Cię na tyle, że się już nigdy, nigdy nie dasz złapać na hipokryzyę serca, które z miłością nie mają nic wspólnego, oprócz słów, któremi ją głoszą. Ja, Twój biedny Hamlet, jak mnie nieraz nazywałaś żartem, będę walczył i zginę za Ciebie, moja Ty Ofelio. A jeżeli wrócę, może znajdę dosyć odwagi, by Ci ukazać całe moje serce, a Ty może nie będziesz się śmiała z dziecka, które Cię przekonało, że jest mężczyzną i potrafiłoby umrzeć dla Ciebie“.

Leonia de Nançay odczytała ten dziwny list raz i drugi. Jego dziecienny ton istotnie nie potrafił już u niej wywołać uśmiechu po odbytym niebezpiecznym pojedynku. Oparła się o poręcz fotelu i siedziała zamysłona. Jak nieraz błyskawica rozjaśni cały horyzont, tak całe ich wspólne życie ukazało się jej teraz wyraźnie w świetle tego dziwnego wyznania, które o mało co nie stało się pozagrobowem. Zrozumiała, że ta miłość, której szukała nadaremnie, przywiązana aż do śmierci, pełna czci aż do kultu, delikatna aż do milczenia, znajdowała się tuż obok niej, a ona o niej nic nie wiedziała. Znów wzięła list do

ręki i płacząc, okryła go pocałunkami. Powróciła do łóżka młodego człowieka, który wciąż jeszcze spał i patrzyła długo na niego, dotykając jego włosów ręką tak lekko, że nawet, gdyby nie spał, nie czułby tego dotknięcia. Następnie znów się skierowała do stołu i z teczki, którą tu sama przyniosła ze sobą, żeby pisać, wydobyla inny list, który miał na pieczęcie herb Bonnivet'a. Był to list, który dziś jeszcze odebrała od markiza i w którym prosił ją o chwilę rozmowy, by jej mógł ustnie wytłumaczyć niepokój, w jakim sam się znajduje. Przybliżyła papier do płonącej świecy i spaliła, a powracając do łóżka zranionego, szepnęła:

— Jaki on młody!... Postarzęję się przed nim...
A jednak...

I czując łzy, które jej znów cisnęły się do oczu, przycisnęła ręką serce, jak gdyby chciała przytłumić jego bicie i szepnęła cichutko:

— Mój Boże! nie zabieraj mi go teraz... Czuję, że jego jednego prawdziwie kocham!

Widoczny Maryanna
BIBLIOTEKA

UMCS
LUBLIN

we przedsięwzięciu

od siebie

Teraz, jeżeli zginę, moja tajemnica przynajmniej nie zginie razem ze mną i nie ujrzę Cię uprowadzoną z naszego cichego rodzinnego kółka przez człowieka, którym pogardzam. Niestety! może gdy zostaniesz sama, odkrycie tego uczucia, które miałem dla ciebie, wzruszy Cię na tyle, że się już nigdy, nigdy nie dasz złapać na hipokryzyę serca, które z miłością nie mają nic wspólnego, oprócz słów, któremi ją głoszą. Ja, Twój biedny Hamlet, jak mnie nieraz nazywałaś żartem, będę walczył i zginę za Ciebie, moja Ty Ofelio. A jeżeli wrócę, może znajdę dosyć odwagi, by Ci ukazać całe moje serce, a Ty może nie będziesz się śmiała z dziecka, które Cię przekonało, że jest mężczyzną i potrafiłoby umrzeć dla Ciebie“.

Leonia de Nançay odczytała ten dziwny list raz i drugi. Jego dziecinny ton istotnie nie potrafił już u niej wywołać uśmiechu po odbytych niebezpiecznym pojedynku. Oparła się o poręcz fotelu i siedziała zamysłona. Jak nieraz błyskawica rozjaśni cały horyzont, tak całe ich wspólne życie ukazało się jej teraz wyraźnie w świetle tego dziwnego wyznania, które o mało co nie stało się pozagrobowem. Zrozumiała, że ta miłość, której szukała nadaremnie, przywiązana aż do śmierci, pełna czci aż do kultu, delikatna aż do milczenia, znajdowała się tuż obok niej, a ona o niej nic nie wiedziała. Znów wzięła list do

ręki i płacząc, okryła go pocałunkami. Powróciła do łóżka młodego człowieka, który wciąż jeszcze spał i patrzyła długo na niego, dotykając jego włosów ręką tak lekko, że nawet, gdyby nie spał, nie czułby tego dotknięcia. Następnie znów się skierowała do stołu i z teczki, którą tu sama przyniosła ze sobą, żeby pisać, wydobyla inny list, który miał na pieczęcie herb Bonnivet'a. Był to list, który dziś jeszcze odebrała od markiza i w którym prosił ją o chwilę rozmowy, by jej mógł ustnie wytłumaczyć niepokój, w jakim sam się znajduje. Przybliżyła papier do płonącej świecy i spaliła, a powracając do łóżka zranionego, szepnęła:

— Jaki on młody!... Postarzęję się przed nim...
A jednak...

I czując łzy, które jej znów cisnęły się do oczu, przycisnęła ręką serce, jak gdyby chciała przytłumić jego bicie i szepnęła cichutko:

— Mój Boże! nie zabieraj mi go teraz... Czuję, że jego jednego prawdziwie kocham!

Widnia Maryanna
BIBLIOTEKA

UMCS
LUBLIN

*nie przedsięwzięta
od siebie*

